

Dziś w numerze: **O miejsce na ziemi** • **Miniatury** • **Teatralne propozycje**
Półka z książkami • „**Mam Forda Taunusa – oczekuję propozycji**”
Wiersze • **Felietony** • **Recenzje**

odgłosy



34 (563)
25. VIII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



KONRAD FREJDlich

NIC NA DZIAŁKACH SIĘ NIE DZIEJE...

W redakcji powiedzieli: napisz wszystko o ogródkach działkowych, ale, rozumiesz, wszystko.

„Wszystko” oznacza w naszym żargonie na ogół dane liczbowe, a przecież reportaż to nie rocznik statystyczny. Więc się wahałem. Ale pan Macke z Wojewódzkiego Zarządu Ogródków Działkowych zaproponował na początek inne wyjście — wręczył mi cztery ręcznie spisane książki, zdobne fotografiami i rysunkami na marginesach. Była to prowadzona od blisko ćwierćwiecza kronika jednego z 67 łódzkich Pracowniczych Ogródków Działkowych, pierwszego z pierwszych, który nosi imię Reymonta, twórcy „Chłopów”. Zapachniało mi zaraz wsią, sianem i dojrzwiałymi jabłkami. Ale kiedy wertowałem opasłe tomiska, jeszcze byłem gotów wycofać się, zrezygnować z tematu. Aż natrafiłem na anonimowy wpis, który mnie zdobył bez reszty, więc przepisuję go bez jakichkolwiek poprawek:

„Kiedy byłem tutaj na wystawie, to mnie się bardzo podobało, byłem zachwycony owocami i warzywami. Podobają mi się tak, że nie mogłam tego znieść, jak tu jest ładnie”.

1.

Te urode wnoszą pergole, bramy z pnących róż, co kwitną w barwach narodowych biało i czerwono. I zadbane alejki, które wprost prowokują do przechadzki. A także cisza, która dziwi nasze uszy przywykłe do miejskiego jęgotu i hałasu. Nie dziw więc, że właściciele malowniczych altan, feudałowie na trzystu metrach kwadratowych, spędzają tu całe lato; ani im w głowie wyjeżdżać gdzieś na wczasy, dusić się w przepełnionych pociągach, a potem cierpieć na niestrawność po jadłach ze zbiorowej garkuchni. Zawsze to człowiek i na podróży trochę oszczędzi i ma gwarancję, że co dzień zje świeże warzywa, prosto z grządki. Zresztą żal im także tej pracy, którą włożyli w swoje małe królestwa. Opowiadają, że gdy po wojnie powstawały pierwsze ogródki działkowe, sami kopali studnie, a potem rabali własne łóżka i szafy, aby zdobyć budulec na altany. Teraz nowi mają łatwiej, jest więcej ułatwień, bo miasto przynajmniej wodociąg zakłada.

Ale ci, co się właśnie decydują zostać dzierżawcami skrawka gruntu, nie mają zbyt ułatwionego życia. Najpierw dlatego, że z tym wodociągiem rozmawiać bywa: trzeba się dobrze nanosić przez sezon, dwa, wody z bajor i rowów, zanim wreszcie któregoś dnia sama trysnie z rury. Po wtóre zaś wszystko trzeba zrobić własnymi rękami, uprzątnąć każdą cegłę, każdy kamień, wykarczować każde dziko rosnące drzewo zanim wreszcie niedawne zyspisko śmieci albo co gorsza wyschnięta glinianka przemieni się w polećko pana działkowca.

Rok temu na Zarzewie, między ulicą Przybyszewskiego i Dąbrowskiego miasto wydzieliło 21 hektarów pod ogródki, ale zanim została skopana pierwsza grządka, ludzie musieli zasy-

Dalszy ciąg na str. 4

TERESA WOJCIECHOWSKA

Nad sarkofagiem Cheopsa

Do Aleksandrii można wpłynąć po 6 rano. O zmroku port jest zamknięty. Stan pogotowia wojennego. Na razie jednak panuje spokój, a my, jeszcze z pokładu, usiłujemy przeniknąć wzrokiem panoramę Egiptu, choć na razie, co tu ukrywać, widać tylko zabudowania portowe i nadmorski pałac Faruka, w którym ulokował się sztab marynarki wojennej. Jakby czytając w naszych myślach, jako jeden z pierwszych na statku pojawił się Mohammed Ali, który najpierw oczarował nas tym, że mówił po polsku. Nie najlepiej wprowadził, ale w każdym razie na tyle, by roztoczyć przed nami kuszące perspek-

tywy zwiedzenia Kairu, piramid, pałaców, meczetów i innych cudów, których grzech byłoby nie zobaczyć, jeśli się jest już tak blisko. Byliśmy zresztą tego samego zdania, więc Mohammed Ali szybko wyciągnął kartkę, na której wypisane było co można zwiedzić za 9 dolarów od osoby. Ponieważ nioć wydłużyły nam się twarze, więc Ali wyciągnął drugą kartkę, na której było napisane co można zwiedzić za 7 dolarów. Ale żeby taniej, to nie, bo wtedy on musiałby oddać własnym dzieciom od ust i dołożyć do nas. Nie mogliśmy się na to zgodzić. Honor Polaków nam nie pozwalał. Ali był w czasie

wojny zaopatrzeniowcem w armii Andersa. Wydarłszy sobie spod serca po ostatnie 7 dolarów.

Wyjechaliśmy o 4 rano, na dworze panowały kompletne ciemności. Na wschód słońca czekaliśmy długo, wylonilo się zza horyzontu nagle, dopiero przed szóstą. Droga do Gazy prowadziła wzdłuż Pustyni Libijskiej. Konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością często sprawia niespodzianki. Inaczej wyobrażałam sobie pustynię. Jechaliśmy szeroką autostradą, wzdłuż której biegła linia wysokiego napięcia. Co pięć kilometrów znak informował o budce telefonicznej. Nieustannie miały nas cieżarówki, ciągniki. Pustynny transport to już nie karawany z wielbłędami. Wielbłądy spotkamy dopiero pod piramidami, gdzie z właściwą sobie godnością reprezentują folklor pozując z turystami na grzbiecie do fotografii.

Po bokach autostrady piasek porośnięty kępami rzadkiej, niskiej roślinności. Potrzebne mało wody, głęboko zapuszcza korzenie. Pasą się na niej stada kóz, owiec, rzadziej wielbłądów. Gęsto usiane namioty Beduinów zajmujących się właśnie hodowlą. Nad namiotami rżosy się

dym. Beduiński od rana piękny chleb. Nie na bochenki, na porcje. Każdy dostaje swoją własną, widoczną po to, by przy dzieleniu nie było konfliktów.

Co jakiś czas ogromne tablice z napisami w języku arabskim. Głoszą one pozdrowienie: „Witamy u Arabów”.

Około siódmej wjeżdżamy do małego miasteczka. W na pół sennej jeszcze restauracyjce zjadamy swoje śniadanie i wypijamy po filiżance czarnej jak smoła kawy. Do każdej podaje się szklankę czystej źródlanej wody. To zwyczaj panujący we wszystkich krajach Bliskiego Wschodu. Podobno to nakaz religijny: nikomu nie wolno odmówić wody, trzeba ją podać każdemu spragnionemu przechodniowi. Lokal jest otoczony egzotycznym ogrodem. Drzewa cytrusowe: pomarańcze, cytryny, limonki, także granaty. I mnóstwo kaktusów. Fotografujemy się na tle kaktusów. Będziemy mieli potem mnóstwo zajęcia z wydobywaniem z ciała kółek, czasem tak cienkich jak włosy, wbiłających się boleśnie w opuszkę palców.

Ruszamy w dalszą drogę. Mijamy jakieś zabudowania przemysłowe. To elektrownia w budowie. Za nią rozciąga się osiedle małych nowoczesnych domków, zamieszkiwanych przez inżynierów pracujących przy budowie, a także nawadnianiu terenu. Wszędzie widnieją wieżyczki wiertnicze. Poszukiwania wody nie ustają. Zyciodajny Nil przestał być jedynym żywicielem. Egipt nawadnia siedem i pół miliona hektarów ziemi. Tama Asuańska pozwoli nawodnić dalsze trzy miliony hektarów i da największą z dotychczasowych sił elektryczną. Ali ma handlowe spojrzenie na życie. Opowiada nam, że obecnie 1 kilowat energii elektrycznej kosztuje 3 piastry, po ukończeniu budowy tamy trzy kilowaty będą kosztować 1 piastra. Przekazuje to na jego odpowiedzialność. Koszt budowy tamy wyniesie 450 milionów funtów, a dochody — 217 milionów rocznie.

Wśród zabudowań budzą nasze

Dalszy ciąg na str. 5



W najbliższą niedzielę odbędzie się w Chicago konwencja partii demokratycznej. Obraz przedwyborczej sytuacji politycznej w Stanach Zjednoczonych w dalszym ciągu jest skomplikowany. Kiedy znany jest już tandem wyborczy republikanów — uwaga komentatorów skupia się — rzecz jasna na demokratach. Chociaż wydaje się więcej niż pewne, że kandydatem partii demokratycznej będzie Humphrey — w prognozach daje się jeszcze szanse senatorom — McCarthy'emu i McGovernowi. Analiza głosów wykazała ostatnio, że spośród tych trzech pretendentów do prezydenckiego fotela — Humphrey może z całą pewnością liczyć na 825 głosów, McCarthy — na 436. Brak szczegółowego rozpoznania po zycji McGoverna, który dopiero przed kilkoma dniami zgłosił swą kandydaturę, a liczy na poparcie byłych zwolenników zamordowanego Roberta Kennedy'ego.

Stanowisko większości tych ostatnich delegatów nie jest znane, a wydaje się, że ich głos będzie bardzo ważny.

Jeśli jednak ponad 5.600 delegatów i ich zastępców wskazuje w Chicago na Humphreya, ciekawe kogo zaproponuje on na wiceprezydenta. Czy powtórzy się zaskoczenie, jakie miało miejsce na konwencji republikanów, kiedy to Nixon dobrał sobie do wyborczego duetu Agnewa, którego nikt nie brał pod uwagę? Czy i Humphrey wyjdzie poza krąg oficjalnych kandydatów do prezydentury.

Na te pytania udzieli odpowiedzi dopiero konwencja. Tymczasem zaprzęta uwagę komentatorów postawa obecnego wiceprezydenta wobec problemu wietnamskiego. Raz i drugi zapowiedział on ostatnio możliwość uelastycznienia stanowiska Waszyngtonu, co dało początek pogłoskom o możliwości całkowitego wstrzymania bombardowań DRW. Pogłoski nie znajdują jednak żadnego potwierdzenia. Zaprzeczyl im także sekretarz obrony Clifford, zapowiadając kontynuowanie nalo-

Oczywiście, wstrzymanie bombardowań jeszcze przed konwencją w Chicago ułatwiłoby Humphreyowi zwycięstwo i zneutralizowało jego głównego oponenta — McCarthy'ego, który kampanię wyborczą w dużym stopniu prowadzi na programie antywojennym, nabawiając do zakończenia interwencji.

Dziś zresztą, co jest charakterystyczne dla nas, stroyów społeczeństwa amerykańskiego, żaden z kandydatów nie może nie wypowiedzieć się za jej zakończeniem. Nixon na przykład, choć jest w o wiele dogodniejszej sytuacji, że nie ponosi odpowiedzialności za jej rozpoczęcie, głosi to otwarcie.

Wojna wietnamska odegra w wyborach amerykańskich w listopadzie zasadniczą rolę. Demokraci, aby wygrać wybory, będą musieli dać dowody dobrej woli — w przeciwnym wypadku szala może się przechylić w kierunku republikanów, których popularność wzrasta.

Tymczasem w Paryżu odbyło się 17 spotkanie przedstawicieli DRW i USA — jedno z najdłuższych w dotychczasowej rundzie rozmów. Ale nadal bez postępu.

Amerikanizm — jak podkreślił przewodniczący delegacji DRW, Xuan Thuy — ulega się przy absurdalnej zasadzie „wzajemności” za rzekomą deeskalację, co nie jest prawdą, ponieważ ze statystyki tegorocznych bombardowań wynika, że są one wyższe niż uprzednio. Również nie można traktować poważnie ich słów o samostanowieniu Wietnamu Północnego, gdyż w rzeczywistości Waszyngton dąży do utrzymania i zaakceptowania neokolonialnego reżimu w Sajgonie.

A do czego zmierzają ten reżim może świadczyć chociażby wypowiedź z ostatnich dni marionetkowego prezydenta — Van Thieu, który nie dbając nawet o pozory dążenia do politycznego rozwiązania problemu stwierdził wprost, że wojna w Wietnamie „musi być wygrana wojskowo”.

Czy dziwić się, że w tej sytuacji bilans ponad 3-miesięcznych rozmów w Paryżu (przypominamy — trwają one od 13 maja) jest jak dotychczas bez pozycji dodatnich?

W polu powszechnego zainteresowania poza Wietnamem utrzymuje się również rejon Bliskiego Wschodu. Istniejący tam stan napięcia, podsygany raz po raz agresywnymi aktami ze strony Izraela, był tematem długiej debaty w Radzie Bezpieczeństwa. Zaikończyła się ona przyjęciem rezolucji, potępiającej Izrael za zbrojną napaść na Jordanię, kolejne pogwałcenie rozejmu o wstrzymaniu ognia oraz ignorowanie poprzednich rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

Równocześnie nasila się fala pogłosek o mających nastąpić nowych inicjatywach pokojowych na Bliskim Wschodzie. Według informacji, niezidentyfikowanych przez cypryjską kwaterę specjalnego wysłannika ONZ — amb. Jarringa, z takimi propozycjami ma wystąpić Zjednoczona Republika Arabska, która zresztą wykazuje wiele dobrej woli i rzetelności w dążeniu do pokojowych rozstrzygnięć.

Pogłoski związane są zapewne również z powrotem do Kairu prezydenta Nasera z trzytygodniowej kuracji w Gruzji.

W. ŚLAWSKI

Dyskusja przedzjazdowa

Przemówienie członka Biura Politycznego tow. Edwarda Gierka, wygłoszone 15 sierpnia br. na spotkaniu z aktywnym partyjnym w Zabrzu wysunęło na czoło zagadnień poruszanych w dyskusji przedzjazdowej ważne problemy humanizacji naszego życia społecznego. Przedrukujemy fragmenty tego ważnego wystąpienia.

Socjalistyczna treść stosunków międzyludzkich

Chodzi o to, aby kontakty i stosunki międzyludzkie wykazywały z ideologicznych podstaw socjalizmu, zespolone były z takimi formami współżycia, które czynią człowieka człowiekiem, człowiekiem, który rekrutuje ze stosunków między jednostkami i większymi grupami społecznymi wylicze prawa bezwzględnej konkurencji, interesowności, obłudy, fałszu i zakłamania, jakimi stosunki międzyludzkie nasycał kapitalizm i burżuazyjne systemy moralno-etyczne.

Hasło: człowiek — człowiekowi bratem, które staraliśmy się mocno i szeroko osadzić w socjalistycznych stosunkach współżycia, nie ma jednak nic wspólnego — trzeba to podkreślić — z jakimś pokójem klasowym, z wyciszeniem walki o sprawiedliwą ocenę czynów i postaw ludzkich, o socjalistyczną dyscyplinę społeczną. Sens tego hasła sprowadza się przede wszystkim do przezwycięzania obelżywych form w stosunkach podwładnych — zwierzchników, do umacniania zasad wzajemnej pomocy, wyrażonej w życzliwej krytyce, w skutecznej radzie, w ułożeniu w trudnej sytuacji zawodowej czy rodzinnej, a przede wszystkim — w umiejętnym, wychowawczym podnoszeniu wymagań wobec środowiska, wobec jednostki.

Pragnę przy tym podkreślić znaczenie przykładu osobistego. Przede wszystkim ten bowiem ma moralne prawo wymagać od innych, kto sam od siebie wiele wymaga, kto sam dobrze pracuje. Ten potrafi dobrze kierować, kto sam tworzy i konsekwentnie realizuje polecenia swego zwierzchnika. Właśnie ugruntowanie owej jedności postaw w pracy i życiu osobistym, traktowanie obu tych stron jako nierozłącznej całości — jest jednym z podstawowych zarówno teoretycznych jak i praktycznych zagadnień socjalistycznych stosunków międzyludzkich.

Człowiek — aby nie zagubił się w ludzkiej zbiorowości, aby umiał dostrzec swoje obowiązki zawodowe czy też moralno-etyczne, oczekuje oceny swojej pracy i postawy. Ma prawo do takiej oceny. Ma prawo wiedzieć konkretnie, co sądzi o nim jego zwierzchnik, jak ocenia go jego kolektyw, jego środowisko. Człowiek chce również, choćby w ogólnym zarysie, znać swoje indywidualne perspektywy rozwojowe, podobnie jak i perspektywy swego zakładu pracy, swojej grupy społecz-

nej. Dlatego właśnie owe elementy krytyki i kontroli, umiarkowane i rzetelne, a nie żłiwające i złośliwe, ocenę jednostki i zespołu, znaczą tak wiele dla umacniania socjalistycznych stosunków międzyludzkich.

Krytyka — napędowa siła demokracji socjalistycznej i postępu

Wielokrotnie mówiliśmy już — kontynuując mówca — o roli i funkcji krytyki w procesie socjalistycznego budownictwa. Jest ona na rządziem, przy pomocy którego partia typu leninowskiego doskonali swą działalność. Obrazowo można powiedzieć, że w demokracji wewnętrznej obowiązują znane nam z fizyki prawo naczyń połączonych: przy niedostatku lub niedowładzie jednej z dwóch form kontroli, tej ogólnej lub odnośnej — zostaje naruszona równowaga sił.

Dojrzelśmy już do tego, by krytykę i wzajemną kontrolę wykorzystywać przede wszystkim jako instrument wyzwalania ludzkiej inicjatywy i poczucia odpowiedzialności. Żada tego nasz terenowy aktywny partyjny, który pragnie, by rezultaty jego pracy oceniane były proporcjonalnie do ogromu wysiłku i ofiarności, jaką w tę pracę wkłada. Każdy z nas, działaczy partyjnych — winien głęboko rozważyć ten problem, pamiętając, że chodzi tu nie tylko o sferę produkcyjną, lecz także — a może nawet przede wszystkim — o rozległą dziedzinę zarządzania i kierowania. Na tym od punktu istnieje u nas jeszcze szereg nieprawidłowości. A przede wszystkim socjalistyczne i kierownicze w nim, rola naszej partii — to nie innego, jak proces umiejętnego angażowania ludzi, całego społeczeństwa, w tworzenie dóbr materialnych i duchowych, we współzrządzenie i współdecydowanie o wszystkich istotnych sprawach dnia dzisiejszego i naszej przyszłości.

Dlatego też, w świetle tych zadań, musimy zadać sobie pytania i uczucie na nie odpowiedzieć: jak nasz komitet zakładowy, jak nasza POP angażuje ludzi do rozwiązywania bieżących zagadnień? Czy w dostatecznym stopniu wyzwała ich inicjatywę? Czy daje ludziom odpowiednie pole do działania, czy liczy się z ich zdaniem, czy wyciąga wnioski z ich postulatów? Pytajmy się wzajem — czy są

nowymy ambicje ludzi, ich osobiste słuszne dążenia, czy w należyty sposób pomagamy im w ich troskach i kłopotach zdrowotnych, rodzinnych czy też związanych np. z nauką? Wszystkie bowiem te problemy określają wielość sprzyjające ludzkiej aktywności, cechujące członków socjalistycznego społeczeństwa. Wiele, które my, członkowie partii winniśmy kształtować i umacniać.

O tych sprawach dyskutując przygotowując się do Zjazdu naszej partii. Spójrzcie, jak działają w zakładach samorządu robotniczego powołane do życia przez partię po to, by stwarzać warunki wyzwalania ludzkiej inicjatywy, by włączyć jak najszersze rzesze pracowników do współzrządzania gospodarką narodową. Bywa przecież często tak, że rola samorządów robotniczych w niektórych zakładach została w praktyce sprowadzona niemal do zera, bez prawa decyzji, nawet bez prawa wyrażania opinii w kluczowych dla przedsiębiorstwa sprawach. Samorządy stały się czymś w rodzaju „maszynki do głosowania”, do formalnego zatwierdzania planów produkcyjnych, do „odfajkowania” wielu ważkich problemów.

Winni temu są konkretni ludzie, których partia postawiła w instancjach i organizacjach, w administracji gospodarczej i którym powierzyła odpowiedzialność za rozwój demokracji wewnętrznej, za przestrzeganie uprawnień pracowników. Niekiedy o ich zaniedbaniach decyduje brak umiejętności kolektywnego kierowania, czasem złe tendencje do administracji, będące przejawem braku zaufania do ludzi, pyszalstwa, kłówek wiarę we własną nieomylność. Bywa, że jest to także po prostu wyraz złej woli i słabego poczucia partyjnej odpowiedzialności, które prowadzi do lekceważenia opinii i doświadczenia kolektywu, jego słusznych postulatów. Wiadomo — łatwiej jest rzucić i nakazywać, niż dyskusować i przekonywać, niż zmobilizować ludzi do świadomej realizacji uchwał partii.

Przywiązując tak ważną rolę do samorządu robotniczego, jako instytucjonalnej formy udziału robotników we współzrządzaniu zakładem, pamiętajmy jednak, że czynnikami decydującymi o umacnianiu wszelkich form socjalistycznej demokracji w każdym zakładzie, mieście i powiecie — była i jest partia, są jej organizacje. Jeśli rozpatrywać tę sprawę w świetle obowiązków podstawowych organizacji partyjnych — na plan pierwszy należy wysunąć ich rolę w stwarzaniu takiej atmosfery, w której ludzie swobodnie wypowiadają swoje poglądy. A jest to sprawa złożona. Istnieją przecież okoliczności, wynikające z działania różnych „sobiepanków”, którzy skutecznie tłumią krytykę, odwyżniają ludzi od wyrażania swoich poglądów w ogóle. A jeśli przy tym uwzględnić, że niektórzy ludzie mają z różnych innych względów trudności w formułowaniu swych poglądów i ocen — to przed człowiekiem, który chciałby wyrazić swój pogląd piętrzy się niemało subiektywnych i obiek-

tywnych przeszkód. Dlatego właśnie podstawowe organizacje partyjne obowiązane są do stwarzania takiej atmosfery, aby ludzie nie bali się zabierać głosu, aby wiedzieli, że ich wnioski i propozycje są dla naszej partii ważne i to nawet wtedy, kiedy nie zawsze są całkowicie słuszne.

Pamiętajmy jednak, że jeśli chcemy ośmielać ludzi, aby więcej i pełniejszym głosem mówili, krytykowali lub chwaliли — potrzebny im z naszej strony partyjny przykład. Decydujący odcinek walki o demokrację socjalistyczną przebiega bowiem przez samą partię, przez każdą organizację i instancję partyjną.

Człowiek — wartość nadrzędna

Jednym z istotnych warunków gwarantujących wyższą efektywność działalności partyjnej jest praca z kadrami. Doświadczenia ostatnich lat wykazały, że niekonsekwentne w polityce kadrowej, polegające na stosowaniu innych kryteriów oceny ludzi niż zgodność ich słów z czynami oraz osobisty udział w prawidłowej realizacji uchwał partii — że te niekonsekwencje powodowały ujemne skutki w wielu dziedzinach życia. Dlatego też trzeba poszerzyć aktywność wokół naszych instancji o ludzi uczciwych, myślących, zdolnych, wysoko wykwalifikowanych politycznie i zawodowo, zdolnych do twórczej realizacji programu partii. Ludzi agituujących własną postawą i przykładem własnej rzetelnej pracy za generacją linii naszej partii.

Winniśmy dobierać ludzi w sposób odpowiedzialny i głęboko partyjny, ale i w ten sam sposób podejmować decyzje o koniecznych zmianach personalnych, kierując się przynajmniej oceną każdego człowieka z osobna.

Jest to sprawa dużej wagi. Chodzi o podniesienie kultury załatwiania wszelkich tego typu spraw, zwłaszcza w odniesieniu do ludzi starszych wiekiem, o długim partyjnym lub zawodowym stażu, w stosunku do pracowników zasłużonych dla sprawy socjalizmu i partii, którzy jednak z tych czy innych powodów, powinni zmienić funkcję partyjną lub zawodową. Z tymi zasłużonymi ludźmi — partyjnymi lub bezpartyjnymi — którzy nie nadążają za wynogami dnia dzisiejszego, trzeba jednak za wszelką cenę postępować po ludzku, w sposób nacechowany dużą życzliwością. Broniąc uczciwych ludzi przed wszelkim prostactwem w ich ocenie — nauczamy się jednocześnie pojmowania przynajmniej decyzji wobec elementów wrogich i obcych nam ideowo, jakie zakradły się w nasze szeregi.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W „Notniku kulturalnym”, zamieszczonym w 31 numerze „Odgłosów” z dnia 4 sierpnia br., Jerzy Widok jak najszlachetniej poruszył sprawę informatora kulturalnego, postulując, aby na miejscu obecnego, ukazującego się od czerwca br. pt. „Łódź Teatralna”, ukazywał się po prostu Łódzki Informator Kulturalny. Sprawa jest godna co najmniej przemyślenia i, co

najważniejsze, mądrej decyzji, dostaliśmy (właśnie — kto dostał albo kupił, bo ja nie!) dwa zaledwie numery z czerwca i z lipca — sierpień, można zatem, powiedzieć już od września, wydawać Łódzki Informator Teatralny. Jakkolwiek tytuł: Łódź Teatralna oddaje treść owego serwisu, uważam, że nie powinno się wznawiać tego tytułu, który wiąże się z określonym czasopiśmem — programem teatralnym, ukazującym się w czasie ka-

dencji Leona Schillera w Państwowym Teatrze Wojska Polskiego (1946—1949). Jak łatwo się zorientować, treść wspomnianej „Łódzi Teatralnej” niewiele ma wspólnego z tamtym periodykiem. Jeszcze jest względnie istotniejszy, który by nakazywał zrezygnować z tej nazwy. Chodzi nam przecież nie tylko o informację o życiu teatralnym miasta, chodzi nam przede wszystkim o pełną informację o życiu kulturalnym i artystycznym Łodzi. A zatem: winny się w Łódzkim Informatorze Kulturalnym znaleźć wiadomości o wszystkich czynnych w danym miesiącu wystawach plastycznych (adresy, godziny otwarcia itp.), o ważniejszych przynajmniej odczytach (Klub MPiK, TPL, LK itd.), o in-

nych imprezach artystycznych i paraartystycznych (w Hal Sportowej, w parkach itp.). W moim przekonaniu nie należałoby zapomnieć np. o programie Łódzkiej TV (jeśli to już jest TV ma program — chyba ma jakiś) i Polskiego Radia. Oczywiście, stawiam wymagania wysokie, lecz skoro już robi się coś takiego to trzeba robić to z rozmachem i rzetelnością. Warto by również wyjść poza streszczenia sztuk, przejść do artykułów analitycznych. Czytając „Łódź Teatralną” redaguję kolegium kierowników literackich (red. B. Markowska). Nie wątpię, iż grono to wywiąże się z tej pracy doskonale.

STANISŁAW KASZYŃSKI

NIC NA DZIAŁKACH SIĘ NIE DZIEJE...

Dalszy ciąg ze str. 1

pywać stawy, które w tym zakątku Łodzi utworzyły całe jeziorze. Zawzięli się i przetrucili na łopatach trzydzieści tysięcy metrów sześciennych ziemi niwelując teren, a jesienią zaczęły się nadziały. Teraz rosną tam już kartofle, pomidory i ogórki, pośród których wznoszą się altany bliźniacze na ogół do siebie podobne, bo na szczeblu centralnym opracowano kilka typowych wzorców, aby zapobiec rozwojowi domorostej architektury. Tylko wodociąg jeszcze nie ma, chociaż on powinien tu być najpierwszy, więc ludziom trochę przykro, że się pośpieszyli z tym zasypywaniem stawów. Wożą wodę na działki tramwajem w termoforach, bo za bagaż nie trzeba płacić i nie rozlewa się, jak z kubelka.

Na Drewnowskiej na zapleczu ementarza, którego mur wytycza południową granicę, w tych dniach założono nowy ogródek działkowy o lirycznym nazwaniu „Krokus”. Po prawdzie powinien on zwać się tymczasowo „Kaktus”, bo ziemia tu jeszcze koląca, ostra, pełna żużla i kamieni, a nawet na jednej z już wytyczonych działek ostała się chałupinka na kurzych łapach. Obok stały niedawno dwie inne wypisze wymaluj równej wartości lepianki, ale z tymi już się działkowcy częściowo uporali. Kierownik zmiany z Izby Wyrzeźwien, którego poletko przebiega w poprzek tej zawałdrogi najął sobie nawet robotników, żeby ścięli rudę, jak kępę niepotrzebnego zielska. Inni sami wzięli się do rozbiórki ryzykując życiem, bo w każdej chwili mogła im zlecieć na głowy jakaś przegnana belka i najbezpieczniej byłoby puścić taką budę z dymem, ale znowu budulca szkoda, altanę można wyrychtować z lepiej zakonserwowanych desek. Najgorzej trafiło się temu, który objął w posiadanie działkę wraz z tubylczą babką, mieszkanką lepianki, która ani rusz nie chce się wynieść za córka do bloków. Ta córka jest ponoć magistrem i odrobinkę wstydi się swej mamy, która lubi sobie pociągać denaturat, a potem cały dzień wala się nieprzytomna na podłodze.

Wyprowadzała ją już milicja — wróciła. Wraca za każdym razem. Więc działkowcy zmówili się, że przy kolejnej eksmisji, zanim nieproszona lokatorka się spostrzeże, rozwała chałupę i do czysta uprzątną deski, a wtedy niech już sobie wraca, odciec jej się.

Próbują opowiadać o tych perypetiach z humorem, ale co spojrzą na swoje surowe jeszcze działki, odcieciewa im się żartów. Karczują drzewa i wiekowe zielska, które tu rosną bujnie, jak na prerii, dokopują się ziemi pod grubą warstwą żużla i zaciskają tylko zęby. Mówią, że gdyby wcześniej wiedzieli co ich czeka, nie biliby się tak latami o ten przydział.

Latami, gdyż zdobycie pracowniczego ogródka, wcale nie jest sprawą prostą ani łatwą. Teoretycznie wystarczy złożyć podanie poświadczające przez Związki, skrupulatnie zliczyć własne działki i dochody. Ale na 7000 szczęśliwców, którzy gospodarzą się już na skrawku gruntu przypada 9000 innych, bez szans na szybkie uzyskanie przydziału — akcja zakładania nowych ogródków działkowych postępuje zbyt wolno w stosunku do rzeczywistych potrzeb. Ilu jest zaś takich, którzy przewidując kłopoty, rezygnują ze starań o ogródek, o tym statystyka milczy.

2.

— Ano, podkusiło mnie — powiada ten, którego działka wypadła akurat na stoku góry usypanej z żużla. I tylko spłuw w dół. Potem, kiedy surowa ziemia przemieniła się już w kwitnący ogród, zapomniał o dolegliwościach pionierki.

A kiedy się idzie cienistymi alejami „Morwy” trudno uwierzyć, że tu także zaczęło się z niczego. Od płaszczyzny piachu, pociętej rowami, gdzie z rzadka wyrastała kępa trawy. Teraz jest już właściwie wszystko: miniaturowe sady owocowe, altany, które dają poczucie ogniska domowego, wodociąg, elektryczność. Tylko, że kłopoty nie kończą się z zebraniem pierwszych plonów. Piotr Fatyga, który gospodarzy na swojej działce już dwudziesty rok i spędza tu cały wolny czas od maja do października skarży się, że założenie światła kosztowało dwa tysiące złotych, ale znowu wieczorami siedzieć po ciemku, też by nie było dobre. Sprawił sobie gumowego węsa, dwadzieścia metrów („czteryście siedemdziesiąt pięć złotych mnie kosztował” — westchnie) i sam podciągnął wodę od głównego pionu, więc tylko płacił za rury, zawsze to taniej.

— Posadziłem tutaj — stwierdza z dumą — 5 jabłoni, 4 śliwy, 3 grusze, 2 wiśnie i 1 czereśnię. Tu jest pod spodem glina, więc drzewa owocowe dobrze idą. Ja tam owoców od lat w sklepie nie kupuję.

Teraz sprawił sobie psa, bo to i raźniej, pogwarzyć sobie można jak z przyjaciółmi, i bezpiecznie. W zeszłym roku, a może nawet na początku tego, kto to może wiedzieć dokładnie, do altany włamali się złodzieje. Trzy kłódki rozerwali na drobne części i zabrali sekator, klucz hydrauliczny, autumatyczny korek do światła. Wszystko zabierają, co im w ręce wpadnie, kiedy opustoszały altan nikt praktycznie nie strzeże w martwym sezonie, po zebraniu plonów. Latem też prują siatkę i dobierają się do drzew owocowych.

Pan Szczepaniak, przewodniczący samorządu „Morwy”, uzupełnia relację o szkodach ponoszonych przez działkowców fachową obserwacją:

— Przed wszystkimi popularniejszymi imieninami trzeba się strzec, bo złodzieje przychodzą po kwiaty.

W ogrodach im. Reymonta także wyżej uszu znają te nieproszone wizyty. Uważają, że młodociani złodzieje, szkody są wyrządzane najczęściej przez wyrostków, współpracują z pokątnymi handlarkami, które sprzedają kwiaty pod bramami ementarza i na ulicy, ale to już problem dla milicji.

Stanisław Zambrzycki, przewodniczący, woli mi jednak opowiedzieć o mniej znanych stronach działalności pracowników ogródków działkowych.

— My, działkowcy, jesteśmy jak jedna wielka rodzina — zaczyna i spostrzegając mój uśmiech wzmacnia swoje słowa wykrzyknikiem: — A tak, żeby pan wiedział! Nawet dyrektorzy, bo mamy u nas tak coś z piętnastu dyrektorów. Jednego co prawda musieliśmy wyłać, bo nie nie robił na działce i w czasie naszego ogrodowego święta zeszliśmy się na jego grządkach, żeby powyrwać chwasty. Za to z pozostałymi nie mamy kłopotów, pracują na ziemi, jak nasz regulamin przykazuje. Ale oprócz pracy mamy swoje radości: odczyty w pawilonie świetlicowym, tradycyjne „Sylwestry”, choinkę dla dzieci. Na Dzień Kobiet wydaliliśmy ponad cztery tysiące zł, panowie usługiwali do stołu w białych fartuszkach i pstryknęliśmy sobie na pamiątkę zdjęcie. Dzień Dziecka kosztował nas trzy tysiące, ale zabawy było za trzydzieści. Najstarsza działka strzelata z łuków do tarczy, maluchy śigały się na rowerach, a dla pozostałych dzieci przewidzieliśmy ogólną



Fot. S. Chybowski.

zabawę; hufiec harcerski z Bałut przysłał do nas swój teatr, referat kultury uczynił to samo. Kiedyś mieliśmy nawet swój własny ogrodowy teatrzyk lalkowy „Jeżyk”, ale wykonawcy podrosli i już nie mają czasu na występy, bo chodzą do szkoły. Najprzyjemniejsze są chyba jednak wycieczki. Co roku wysyłamy bezpłatnie autokarem w Polskę pięćdziesiąt osób: to świetlica zarabia na nas wszystkich, wypożyczamy ją okolicznym mieszkańcom na śluby.

— No, a co wam najbardziej utrudnia wasze działkowe życie? — zapytałem, kiedy przed deszczem schroniliśmy się w altanie.

Pan Zambrzycki zastanowił się i mówi:

— Nawóz.

— Nawóz? — Nie zrozumiałem.

Więc przewodniczący rozwinął. Bez nawozu się nie ujedzie, a wóz obornika kosztuje nawet pięć setek. Zakład Oczyszczania Miasta kompostuje wprawdzie nawóz, ale też drogo się go pozbywa. Najtaniej jest, kiedy się wejdzie w kontakt z rzeźnią, tylko znowu o ten kontakt nie jest łatwo. Więc większość działkowców stosuje sztuczne nawozy, chociaż nie zawsze z dobrym skutkiem. Prócz tego można nabyć preparat „Plon”, albo „Mieszankę chorowską”, trzydzieści złotych paczka.

Pracy nikt już nie liczy, a przecież ona tutaj najważniejsza.

3.

Są jednak działkowcy, którym udaje się prawie wszystko. Za prawdziwego szczęśliwca może się uważać inżynier Wójcik, założyciel ogródka działkowego na zapleczu remizy tramwajowej przy ulicy Dąbrowskiego. Inżynier jest autorem okolicznościowego wiersza, który wiś pięknie wykalfigrafowany w świetlicy, obok licznych dyplomów i wycinzków z gazet.

„Działka ziemi mało.

A co w sumie dała?

Ten tylko oceni, ten zważy,

Kto na niej gospodarzy”.

Za odpowiedź niech posłuży ogródek skalny, który pan Wójcik zaprojektował i zrealizował z pomocą innych działkowców. Rośnie tam trzysta gatunków roślin poczynając od rozchodników, poprzez szarotki do jałowców, więc schodzą się tu całe procesje pań nauczycielek i działki szkolnej, która chce pogłębić swoje botaniczne zainteresowanie. Pasy zieleni oddzielające działki także mogą wprawić w zdumienie mnogością najdziwniejszych odmian drzew i krzewów. Zatrzymuje się człowiek, żeby popatrzeć na dęby piramidalne, których korony przypominają grobowce faraonów, a zaraz, odrobinę dalej, kokietują czerwone leszczyny i kwitnące czerwono kasztanowce. Amatorów przysłów zaciekawi na pewno grusza wierzbolistna, która pobudza do refleksji, że jednak można znaleźć gruszkę na wierzbie. To już właściwie nie jest ogródek działkowy, to prawdziwy ogród botaniczny z jadalnymi kasztanami, mahonią i dziesiątkami innych równie rzadkich w naszej strefie klimatycznej roślin.

Działka inżyniera Wójcika, niewielka, wszystkiego 250 m kwadratowych, także może stawać do wszelkich konkursów oryginalności. Altanę na niej wybudował maleńką, rozmyślnie, bo traktuje ją, jako ukrycie przed deszczem, za to cały swój zapal poświęcił organizacji miniaturowego ośrodka rekreacyjnego, gdzie naprawdę można wypocząć. Jest tam stolik i wygodna ławka, a wszystko na kobiercu z trawolistnych roślin cebulkowych. W zależności od porę roku siedzi sobie człowiek na ławeczce z nogami w przebieśniętach, śnieżyczkach, scillach, krokusach, czy szafirach. Za plecami ma galk z roślinami zimozielonymi, które nigdy nie tracą swej urody. To rododendrony i barwinki. Przed sobą zaś widzi człowieka różę, dziesiątki odmian róż. Kwitnie tu i „Montezuma” i „Super Star”, „Wiener Schärme” i „Joanna Hilde”, a także „Buccaneer”, „Princesse Lilliane”, „Manitu” i „Goldrausch”.

Inżynier Wójcik narwał agrestu wielkości śliwek, podał na talerzu i usiedliśmy sobie, żeby pojeść i pogwarzyć. I kiedy tak siedziałem, zapomniałszy o bożym świecie, zrozumiałem wreszcie ile znaczy choćby pięćdziesiąt kilometrów, bliska poprzez pot, którym trzeba ją zrosić, aby dała plony i bliska poprzez siłę, którą daje tym, co mają o nią staranie.

KONRAD FREJDLICh

str. 3

O miejsce na ziemi

(REPORTAŻ NAGRODZONY
NA KONKURSIE „ODGŁOSÓW”,
NAGRODĄ TOWARZYSTWA
PRZYJACIÓŁ ŁÓDZI).

I

Od kilku lat, wczesnym rankiem, Bożena J. spieszy na dworzec, by zdążyć na pociąg odchodzący do Łodzi o 6.57. Ta codzienna ucieczka od absurdalnej egzystencji małego miasteczka, przynosi ulgę.

Pociąg unosi ją ku słońcu, które o tej porze wychyla się spoza zasnuwanych dymem kominów elektrowni. I zaraz perony: ciasne perony łódzkiego dworca wypływającego co kilka minut z ciemnego tunelu tysiące rozgorzaconych przybyszów. Rozpoczyna się codzienny wyścig z czasem. W zgietku nie słychać tramwajowych dzwonek, tłum uderza w zamknięte drzwi wozów, rozrywa je i momentalnie wie, pełnia każdy centymetr przestrzeni.

— Panie motorniczy, jedź pan!
— Cholera, znów nie zdąży. A on stoi jak ten...

— No, gdzie się pan pchasz? Nie widzisz pan, że nie ma miejsca?

— E, tam, nie ma miejsca. Wypuść pan powietrze i d raz luź będzie.

Wreszcie tramwaj rusza. Bożena wcisnęła w kciok obserwuje ulicę, na której zna niemal każdy dom i każdą bramę. Przyszykowała się do monotoni ulicy Kopernika, do jej szarej brzołaty, do zapachu unoszącego się z Łódzkiej Wytwórni Papierosów.

Popychana, ledwo żywa, bohaterko znosząc ból posturbiwania, zostaje wyrzucona przy alei Kościuszki na zalany słońcem chodnik. A stąd już niedaleko. Jeszcze tylko przebiec kawałek ulicą Andrzeja, przeskoczyć Piotrkowską i pochwila na mroczną klatkę schodową z potłuczonym witrażem. O godzinie 8 rano, kierownik działu usług, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego Bożena J. zasiada przy biurku w Zakładach Artystycznych Związku Polskich Artystów Plastyków.

II

Życie nie jest łaskawe dla sierot. Szczególnie dla biednych sierot.

Ojciec Bożeny został zamordowany w obozie hitlerowskim. Matka przez długie lata była pracownicą GRN i za skromną pensję musiała ubrać i nakarmić dwoje dzieci: syna i córkę. Potem przyszły lata nauki. Dzieci maszerowały codziennie do oddalonej o kilka kilometrów szkoły, brnąć przez kałuże w czasie roztopów, w zimie walczyć z zamiecią. I nikt z sąsiadów nie wiedział ile samozaparcia, poświęcenia i hartu ducha wykazywała stara kobieta w tych ciężkich i trudnych latach.

Kiedy Bożena zdała do II klasy, zjawił się w szkole nowy nauczyciel, niemal rówieśnik, młody i ambitny. I stało się to, czego nie prze widują regulaminy szkolne: nauczyciel zakochał się w jasnowłosej, drobnej uczennicy. Fakt ten był brzemienny w skutki: niedoświadczony profesor przeżył być może swoją pierwszą porażkę, a Bożena odeszła ze szkoły. Odeszła tuż przed maturą, w momencie, gdy matka prosiła w kościele świętych o pomoc



Z tekstu E.T.F. Fot. R. Taszakowski.

i wsparcie. Znalazła się nagle na rozstajnych drogach nie wiedząc, którą z nich wybrać. Każda prowadziła do nikąd, bo w małych miastach każda droga jest krótka i wyboista.

Tak oto, po latach wyrzeczności, znalazła się ostatecznie w punkcie wyjściowym. Wróciła, by codziennie oglądać łzy matki i wysłuchiwać nie kończących się tyrań na temat upadku obywateli, wstydu jaki przed żyjącymi wdowami oraz tego, że inne dzieci swoim rodzicom sprawiają same radości.

III

Co może robić młoda dziewczyna w miasteczku, gdzie wszyscy znają wszystkich, gdzie piąty zasypia w bramach, wiedząc, że nikt im nie przeszkodzi? Jedyny awans to praca, nawet ta skromna praca w mleczarni czy przy naplinalaniu butelek wodą sodową. A Bożena nie chciała naplinali butelek. Oczywiście marzeniem jest praca w biurze, choć prezes lub dyrektor jest nie raz groźniejszy niż perski satrapa i kobiety zatrudnione w swym przedsiębiorstwie traktuje jak nalożnice. Ale to nie odstrasza, w niektórych instytucjach takie ustawienie sprawy dodaje pewnej rangi dziewczynie: szczególnie! nawet sam pan prezes zabiera ją do samochodu! A gdy trafił się kawaler, w kościele płoną wszystkie świece, a dywany są rozesłane aż do kruchoty. Siedmiu księży udziela ślubu urzędniczo

ce cementując w ten sposób zręby kruchego małżeństwa. A prezes lub dyrektor z uśmiechem podaje księdzu na tacy obrączki.

W małych miastach znają się wszyscy. Tu milicjant jest prawdziwym przyjacielem i opiekunem każdego zabłąkanego pijaka, a w kawiarni do kawy dolewa się spirytusu. W niedzielę na deptaku spotyka się ze sobą kilka pokoleń, jeden w butach z cholewami i w pelisach po kostki, drudzy w dzinsach lub sukienkach ledwo osłaniających rozłożyste kupry. A wszystko się kłuje, kręci, obraca dookoła własnej osi nie mogąc wyrwać się z zabiegłego klimatu małego miasteczka.

Bożena chciała uciec. Właściwie tu bierze swój początek nasza opowieść o dziewczynie, która za wszelką cenę pragnęła wygrać bitwę o własne miejsce w społeczeństwie.

Po wielu zabiegach i staraniach, otrzymuje w końcu pracę w PZGS-ie, w dziale księgowości. Zapisuje się do Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących, na co (bardzo zresztą niechętnie) godzi się ówczesny prezes. Ale prezes srawia warunki: nauka — owszem, lecz proszę złożyć oświadczenie, że korzystając z dni przysługujących na egzaminach, z-powiazuje się pan! oddawanie sprawozdania bilansowe w terminie! I Bożena podpisuje ten cyrograf. Teraz zaczyna się nieustanna wędrownia akt z biura do domu i z domu do biura. W dzień praca,

wieczorami nauka, a w nocy uzgadnianie niezliczonych kont, paragrafów i sald.

W końcu — zwycięstwo: Bożena ku niezadowoleniu pana prezesa PZGS, zdaje maturę. Uszczęśliwiona sukcesem pisze podanie prosząc o zezwolenie na rozpoczęcie studiów ekonomicznych. Ciągłe jeszcze wierzy, że życzliwość jest cechą każdego człowieka.

Mijają dni, tygodnie, miesiące. Prezes milczy, zwieka. Dziewczyna idzie do Rady Zakładowej, ale tu o niczym nie wie, oczywiście obiecuje pomoc i radzą, by powtórnie udała się do pana prezesa.

Poczuła, Pan prezes był bardzo oficjalny. Oświadczył, że nigdy nie wyrazi zgody na tego rodzaju marnowanie czasu, gdyż nauka to czysto bezsens i wyrost burżuazji. Oto, dla przykładu, on sam, ma zaledwie siedem klas, a jest już przemieszany poważnej instytucji i jeśli zechce, to pójdzie jeszcze wyżej. W pracy, według pana prezesa, nie jest potrzebna szkółka, lecz spryt.

Zrozpaczona Bożena odwołuje się ponownie do Rady Zakładowej. Zbiera się więc specjalna komisja złożona z prezesa, kilku jego towarzyszy, czynników społecznego oraz przewodniczącego Rady Zakładowej. Ten ostatni, może nieświadom konsekwencji jakie może ściągnąć na siebie, żarliwie popiera prośbę Bożeny, dowodząc, że jeśli ukończy studia, stanie się o wiele bardziej wartościowym i doświadczonym pracownikiem. Riposta prezesa jest gwałtowna i jednoznaczna: „Szanowny Przewodniczący Rady Zakładowej! Gdybym przewidywał, że zajmiecie takie stanowisko, nie prosiłbym was wcale na posiedzenie zarządu. To wszystko. Więcej o tej sprawie nie chcę słyszeć”.

Łzy przynoszą ulgę, ale niczego nie zmieniają. Bożena w dalszym ciągu nosiła segregatory do domu by w spokoju sumować nie kończące się kolumny cyfr. Odsunęła się od „życia towarzyskiego” jakie wieczorami urządzano w biurze, przestała reagować na docinki i żarciki. Jej sytuacja stała się wyjątkowa; jako „buntownik” mogła być zwolniona z pracy w każdej chwili. Nigdy nie była pewna, czy po przyjęciu do pracy nie otrzyma wypowiedzenia.

Właśnie wtedy znajduje spokój w działalności kulturalnej. Wstępuje do zespołu baletowego przy Powiatowym Domu Kultury i każdą wolną od morderej pracy chwilę, poświęca tańcom. Zespołu, w którym tańczy Bożena, szybko zdołała popularność. Początkowo odnoszą się wrogo do tego rodzaju rozrywkę starzy mieszkańcy miasteczka, ale wkrótce wala oknami i drzwiami, bowiem zespół zdobywa wysoką lokatę w eliminacjach wojewódzkich. Szczegółowe osiągnięcie — to udział w eliminacjach ogólnopolskich, z których wracają jako jedni ze zwycięzców. Praca w zespole przywraca Bożenie wiarę w ludzi, pozwala ocenić siłę kolektywu, kształtuje jej charakter, uczy podejmowania samodzielnego decyzji.

Któregoś dnia wymawia pracę, ku zaskoczeniu zatrudniającego w swą potęgę prezesa PZGS. Jest rok 1962. Codziennie setki mieszkańców miasteczka śpieszą na poranne pociągi, które zawiozą ich do fabryki i biur wielkiej Łodzi. W zminnych i ciasnych wagonach Bożena spotyka swoich przyjaciół, kolegów i znajomych, którzy od dawna pojechali wielką prawdę, że życie to ruch, to wirujące tryby i walce, parowe młoty i ogłuszający stuk setek krosien. Pojechali, że w skłóceniu marazmu własnego miasteczka są skazani na powolne, beznadziejne umieranie. Bożena dostrzegła radość na ich twarzach, radość i spokój pomimo zmęczenia, tego potwornego zmęczenia, jakie odczuwa się dopiero w pociągu, gdy ze stukiem kół zjawia się ociężałość i sen.

IV

I tak rozpoczął się nowy rozdział w życiu Bożeny J. została przyjęta do pracy w Zakładach Artystycznych ZPAP na najniższym stanowisku z najniższym uposażeniem. Teraz musiała zrywać się o świcie, parzyć herbatę, a często bez śniadania i pędzić na dworzec by zdążyć na poranny pociąg. Ale nie skarżyła się. Bo ta praca była jej pierwszym samodzielnym wyborem. W 1963 roku Bożena zostaje przyjęta na Wydział Ekonomiczny Uniwersytetu Łódzkiego. Właściwie do dziś nikt nie wie, kiedy ta dziewczyna znajdowała czas na naukę. A jednak się uczyła, zaliczała wszystkie kolokwia i zdawała kolejno wszystkie egzaminy. W krytycznym roku 1966, myślała, że nie da już rady. Po prostu załamała się, opadła z sił, zrezygnowała. To był naprawdę ciężki i morderczy rok. Latem tego roku odchodził z pracy kierownik działu usług, jesienią umiera nagle dyrektor i nie licząc grupki kobiet znalazła się nagle wobec przerażających jej o wiele głów zadań. Ale władze zwierzechnie nie namyślając się długo nad powstałą sytuacją, nie analizując głębiej sprawy, nie chcą bliżej angażować się w zawiłane sprawy personalne i przekonane, że znalazły najlepsze wyjście z tej trudnej sytuacji, mianują Bożenę J. kierownikiem działu usług, powierzając jej jednocześnie stanowisko p.o. dyrektora.

Tak zaczyna się bitwa o Zakłady Artystyczne, która nigdy nie została opowiedziana, a której nikt nie dostrzegł przez ten posępny i wyczerpujący rok. Władze zwierzechnie i współpracownicy obserwowali, przyglądali się i zaczęli głośno, zgadzając, kiedy się załamała ta szczupła i wątła dziewczyna o wesołych oczach. Właśnie to w tej całej historii jest najboleśniejsze i najtragiczniejsze. Wszyscy stawiali jedno pytanie: czy podola? Wierzone, że przegra, musi przegrać, robiono może po cichu zakłady, kto wie? Ale nikt nie przyszedł z pomocą, nikt nie powiedział ciepłego słowa, nie podtrzymał. W owych dniach Bożena opuszczała biuro o północy, szukając portiera, by otworzyć jej bramę. Wracała do domu, by choć przez kilka nocnych godzin zasnąć nad książką. A na dodatek zobowiązała się, że przygotuje do egzaminów, oczywiście darmo, dwóch uczniów z Technikum Ekonomicznego, którzy regularnie zjawiali się z zeszytami i książkami.

Jednakże człowiek jest twardy. Jest silniejszy niż sam o tym myśli. Burze łamią stuletnie drzewy, niepozorny człowiek, ta tężyna myśląca, podnosi się po każdej nawałnicy. W tym tkwi jego wielkość.

Dzięki Bożenie J. Zakłady Artystyczne ZPAP pracują dziś normalnym rytmem. Interesanci nie podjeżdżają, że był okres, kiedy groziła działalność tej jakże potrzebnej i zastępowanej placówce katastrofa i, że siedząca za biurkiem drobna dziewczyna potrafiła odwrócić tę klęskę. Nie ma miary do mierzenia zasług, jak nie ma nagrody, która byłaby rekompensatą za poniesione poświęcenia. Jakże szybko zacierają się w ludzkiej pamięci zdarzenia, fakty, sytuacje, których byli świadkami. Wszystko odchodzi, ustępuje miejsca nowym sytuacjom i nowym ludziom. Dzisiaj Bożena J. jest kierownikiem działu usług w Zakładach Artystycznych ZPAP i jak przed laty, codziennie rano biegnie zakurzoną drogą, by zdążyć na poranny pociąg odchodzący do Łodzi. Tylko, że teraz pociąg są inne, elektryczne i Bożena jest inna, jak inne stało się samo życie na przestrzeni kilku ostatnich lat.

Panie

Redaktorze!

W zamku uniejowskim byłem jakieś 3-4 lata temu. Zachłapanie przedwieśnią, zamek był w generalnym remoncie, rograjdany, pełen dziurawych przeciągów, desek, rur kanalizacyjnych, zabetonowanych sklepień piwnicznych; wśród tego bałaganu kreślił się złośliwy robotnik w butach gumowych.

Wszędzie błoto po kostki, kałuże rozlanej wody; — słowem wszystko tonęło w nieprzyjemnej mazi. I tylko mała, ruda łaszczyka połowała wśród tego rozgardiaszu na myszy, nie przejmując się ludźmi, którzy, zdawało się, na wieki będą się krzątać koło tego remontu.

Niewiele było ciekawego do obejrzenia; dla rekompensaty obejrzałem jeszcze miasteczko po drugiej stronie Warty — biedne i zamazane — ale i tam było błoto, mokro i smutno, tak, że nie było się o co zacząć. Dziesięć chyba razy przebrałem wtedy pisanie o tym Uniejowie i dwadzieścia razy darłem; nie z tego nie wychodziło.

Minęły cztery lata i oto dobre bogi zaprowadziły mnie znowu do zamku; — a raczej to ja wyruszyłem na jego podbój, bo pogoda od samego rana była prześwietna i dzień śmiał się szeroko jaskrawą gębą słońca.

Nie będę Panu opisywał krajobrazu, bo za dużo tych piękności — krajobrazu, który o tej porze roku jest cudowny. Ale tym razem nam się udało, bo trafiliśmy na piękny kawałek smakowitej zieleni, który zaczęliśmy pożerać już od samych Poddebów; pod opieką pogody, która osłaniała nas modrobiętkim skrzydłem od upału.

Do uniejowskiego zamku jechałbym także po to, aby zobaczyć „kurs-plenero-seminarium”, czy inne przygotowania młodzieży z klas przedmaturalnych do szkół plastycznych i filmowych.

Co za szalona różnica z tym dawnym rozprutym zewłokiem sprzed czterech lat. Teraz stoi nowiutki, starannie wykonany, otoczony olbrzymim parkiem złożonym z wielkich drzew, któremu żaden na świecie upał nie da rady. Po drugiej stronie uroczym miasteczko, tuż nad Wartą, pełną kąpiących się i wrzeszczących gólasów.

Zajechaliśmy na dziedziniec, skąd zabrał nas gospodarz zamku, dyrektor Kozendra.

Zamek w środku posiada piękną salę jadalną, kawiarnię, pokoje gościnne i wszelkie pomieszczenia konieczne do sprawnego funkcjonowania.

Ale nie było za dużo czasu na oglądanie, bo zaraz spotkał się p. Marianowicz i p. Mazurek, którzy właśnie tutaj prowadzą dwutygodniowy obóz ukulturalniający (jeżeli bez obrazu można tak rzec) dla Związku Młodzięży Wiejskiej.

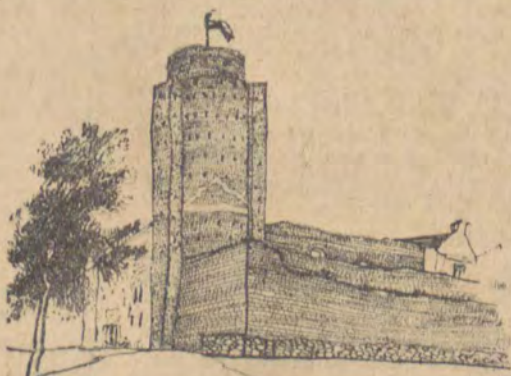
Kurs dzieli się na dwie grupy: pierwsza to grupa Państwowej Szkoły Filmowej — druga, to grupa przyszłych plastyków z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych.

Milj moi rozmówcy objaśniali mi cierpliwie o wszystkim; że czas

jest wykorzystywany do maksimum; — rygor — szkoda gadać!

Oto rozkład dnia: siódma rano pobudka, siódma trzydzieści — apel, ósma — śniadanie, dziewiąta — jedenasta — projekcje filmowe (dla obydwu grup), jedenasta — trzynasta — zajęcia praktyczne (plastycy malują, filmowcy fotografują i kręcą — wszystko w plenerze), trzynasta trzydzieści — obiad, piętnasta — osiemnasta — zajęcia programowe, konsultacje, interseminaria itd., osiemnasta — kolacja, dziewiętnasta — dwa dziesiąta pierwsza trzydzieści — wykłady i znowu konsultacje, dwudziesta druga — spać — silentium, koniec dnia.

— Jak Pan widzi, Redaktorze — rygor jak się patrzy! Jak mówi miły pan Janek Marianowicz i jes-



Nad sarkofagiem Cheopsa



Dalszy ciąg ze str. 1

zainteresowanie białe, dochodzące chyba do 2 metrów wysokości, słozki symetrycznie rozmieszczone okrągłymi otworami. Będziemy potem spotykać je często. To gołębniki. Hodowla gołębi jest tu bardzo popularna. Ali nie wie czy gołębie są tu traktowane jako drob.

Z odległości 23 kilometrów od Kairu już widać mglisty zarys piramid. W krajobrazie odmiennie — po bokach szosy pojawiają się wapienne góry. Na stronach złotych zboczach leżą płyty słonego wapienia. Zostawiamy z boku Kairu, skręcamy do Gazy. Pierwszym punktem programu, wycieczki jest zwiedzanie piramid. Ali tłumaczy, że tam trzeba rano, bo w ciągu dnia jest zbyt gorąco. Jest to prawda, lecz dla naszego przewodnika — o czym przekonał się później —

słonecznej, którą znajdziemy potem zrekonstruowaną w kairskim Muzeum Starożytności. Barka ta przeznaczona była dla duszy królewskiej.

Przechodzimy do drugiej piramidy. Ali informuje: średnia co do wielkości, 138 metrów wysokości, grobowiec króla Chafre — syna Cheopsa. Na szczycie zachowała się jeszcze okładzina alabastrowa. Następna piramida jest grobowcem króla Menkaure, syna Chafre. Wysokość 66 metrów, bok podstawy — 108 metrów.

Teraz kolej na Sfinksa. Został wykuty prawdopodobnie za panowania Chafre. Bo głowa kamiennego kolosa ma rysy króla. Wykuty z monolitu ma wysokość 20 metrów. Głowa człowieka noszącego rozum, tors lwa — siłę. Takie miały być cechy faraonów. Z filozoficznym uśmiechem, ale i nie bez odrobiny satysfakcji, Ali mówi, że 170 lat temu Napoleon strzelał do Sfinksa i stracił mu nos. Zabytkowi liczącemu 5 tysięcy lat!

Clou programu stanowi wyprawa w głąb piramidy Cheopsa. 45 lat temu wykuto wejście do piramidy. Pierwotnie wiodło 25 metrów pod ziemię, tunel zasłonięty był blokami skalnymi — ochroną przed złodziejami i innymi niepożądanymi gośćmi. Dla zmylenia intruzów budowano wiele fałszywych tuneli, prowadzących do nikąd. Ten, którym wchodzimy pomyślnie jest zapewne głównie dla celów turystycznych. Jest wąski i niski o stromym spadku pokrytym rodzajem kładki z desek o poprzecznie ułożonych wąskich deseczkach mających zastąpić stopnie. Na wstępie Ali fascynuje nas napisami, wyskrobanymi w kamiennych ścianach. A jakże, nie brak i polskich. Aż mi się to gorszy od innych, żeby się nie upamiętnić?

Tunel jest zelektryfikowany. Idziemy zgieci wół pod niskim pułapem, po wąskich szczebelkach kuczowo trzymając się poręczy. Złani potem marzymy o końcu tej drogi, wydaje nam się, że już jesteśmy u szczytu piramidy, tymczasem jesteśmy tylko u szczytu wytrzymałości. Ali żwawy jak górska kozica, wcale nie zmęczony, mówi wreszcie: stop! Wprowadza nas do komnaty królewskiej, w której znajduje się granitowy sarkofag. Znajdujemy się na wysokości 70 metrów, w samym prawie środku piramidy. Sala ciemna, duszna, cała wyłożona granitowymi blokami, a każdy z nich waży 45 ton. Granit słupki o regularnych liniach. Do dziś jest tajemnicą jak zostały złożone bez żadnego spoiwa.

Sarkofag jest pusty. Zwłoki króla zostały wykradzione przez mścicieli, którzy budowali piramidę. Nie chcieli, by dusza królewska powróciła kiedykolwiek na ziemię. Wersję tę podaje oczywiście na odpowiedzialność Alego. Komnata nie ma okien ani drzwi, tylko dwa wąskie kanały. Encyklopedia nazywa je wentylacyjno-świetlnymi. Ali twierdzi, że były one przeznaczone dla wędrowek dusz. Jednym z nich właśnie dusza królewska miała wrócić do swego ciała. Na zakończenie Ali zapoznaje nas z pogłosem w komnacie sarkofagowej.

W komnacie królewskiej (nie, nie chcemy jej już oglądać) zainstalowano urządzenia elektroniczne, przy pomocy których bada się czy są jeszcze jakieś nieznane pomieszczenia. Przez kilka tysięcy lat piramidy egipskie nie odkryły jeszcze wszystkich swych tajemnic.

Wracamy do żywych. Trudno to powrócić. Okazuje się, że wejście tunelem do góry było fraszką w porównaniu z zejściem. Stanawczy wreszcie na prostej ziemi, oślepnięci słonecznym blaskiem, mamy na dziś właściwie dosyć. Ale Ali jest nieublagany. Musi uczciwie zapracować na swoje honorarium. Jedziemy do Kairu.

O 12 w południe wjeżdżamy do zalanego słońcem miasta. Chyba że 40 stopni w cieniu. Miasto oglądamy z okien samochodu popijając ciepły płynny owoc z kraju rodzinnego. Następnym punktem programu jest zwiedzanie Muzeum Starożytności. Przed wejściem, na chodniku wzniesiono kilkumetrowej szerokości ścianę z cegieł, mającą chronić wejście przed podmuchem bomby. Takie ceglane ścianki spotykamy przed ważniejszymi budynkami nie tylko w Kairze, również w Aleksandrii. Niebezpieczeństwo wojny. Szaby w budynku Muzeum zaklejone skrzyżowanymi na ukos paskami papieru. Pamiętamy takie szaby we własnym kraju. Tak samo oklejone paskami są wszystkie szklane gabloty w Muzeum. Najcenniejsze eksponaty zostały schowane. Dlatego nie zobaczymy słynnej złotej statui Tutenchamona, jedyne go wлады Египта, którego grób dzięki przypadkowi ocalał w całości. Wejście do grobowca zostało zasypane przez kopiących inny grobowiec i dzięki temu grób Tutenchamona przetrwał nie tknięty do 1922 roku. Jego zawartość wypełniła kilka ogromnych sal Muzeum. Przepych, bogactwo, złoto. Złote naczynia, pozłacane trony, łoża, obijane złotą blachą, trumny królewskie (było ich siedem, tyle ile dni tygodnia), broń, odzież, żywność, ziarno, które zasiane po bez mała 3 i pół tysiąca lat dało zboże, perfumy w alabastrowym dzbanie, które po tym czasie nie straciły aromatu.

Słusznie powiedział Mohammed Ali, że na zwiedzanie Muzeum trzeba przynajmniej dwóch tygodni. Po dwóch godzinach wędrowki po tym bezennym skarbcu historii kręci nam się już w głowach. Nasyciliśmy ciekawością, nie pretendujemy do opanowania całości.

Wobec tego Ali postanawia wprowadzić nas w tajniki islamu. Nic dziwnego, nad Kairem wzbija się w niebo 1.200 minaretów, z których muezyni wzywają wiernych do modlitwy. Ich zawołanie słychać w całym mieście. Sprawy religijne mają tu poważny wpływ na sprawy państwowe, polityczne. Ali prowadzi nas do meczetu El Rifal, meza świętego, zmarłego 650 lat temu. Ten meczet wzniesiony został 135 lat temu kosztem pół miliona złotych funtów, budowa trwała 12 lat.

Do meczetu nie wchodzi się całkiem zwyczajnie, jak na przykład do kościoła. Kobiety zostawiają na progu obuwie, mężczyźni otrzymują papucze podobne do tych, które zakładamy w naszych muzeach. Kairski meczet jest widocznie nastawiony na turystów, bo do niczego innego nas nie skłaniano. Moje towarzyszyki podróży, którym zachciało się obejrzeć jakiś mały meczet w Bejrucie, musiały umyć ręce, twarz i załatwić inne czynności fizjologiczne.

Usadźmy nas na miękkim dywanie pod ścianą. Ali poczęł wprowadzać nas w tajniki islamu. Jest to religia nadzwyczaj surowa. Wymaga pięciu modlitw dziennie, przed przystąpieniem do każdej wierni muszą myć ręce, nogi, twarz, płukać usta, nos i pomoczyć włosy. Głównym dniem modlitwy jest dzia — piątek w południe. Modlacy się kładą bijąc czołm o podłogę. Dlatego właśnie — tłumaczy Ali — posadzki wykładane są dywanami, dlatego kobiety modlą się w innym pomieszczeniu. Taką pozycją modlającej się kobiety mogłaby rozpraszać uwagę mężczyźni. Wprawdzie izolacja kobiet tłumaczy Ali względami moralno-estetycznymi, niemniej pomieszczenie dla kobiet, mieszczące

się w prawej nawie meczetu, jest bardziej niż skromne. Na podłogach zamiast dywanów — maty, ściany surowe, gołe, niczym nie ozdobione. Uderzający kontrast z przepychem panującym w świątyni.

Tam ściany wykładane czarnobiałym marmurem co daje piękne efekty plastyczne. Piękne koronkowe kraty otaczające grobowiec El Rifal, wykonane z drzewa sandałowego, inkrustowane są masą perłową, kością słoniową. Urzekające mozaiki z masy perłowej zdobia ściany. Wzory na przepysznych dywanach są identyczne z wzorami na kopulastych sklepieniach świątyni. W oknach witraże.

Oczy wychodzą nam z zachwyty na wierzch, a Ali wyklada zasady ramadanu — miesięcznego postu: od 4 rano do zachodu słońca nie wolno jeść, pić, przeklinać, palić i pałować na cudze kobiety. Post jest właściwie dla bogatych, żeby wiedzieli jak żyją biedni. A także po to, by ludzie mogli sprawdzić swe charakterystyki, przekonać się czy umieją panować nad sobą czy nie. Nie wiem czy interpretacja Alego jest ścisła, ale zauważam już wielokrotnie, że charakterystyki go znacząca dowolność we wszystkich informacjach. A może to po prostu słaba znajomość języka polskiego? Zresztą nas, którzy nie podchodzimy do spraw naukowych, ta dowolność specjalnie nie przejmie.

Opuszczamy meczet pokrzepieni nie tylko na duchu co na ciele. Panował tam odczuwany chłód, słopy wypoczęły bez owuwa. Zar na dworze staje się nie do wytrzymania. Okrutny Ali rozłącza przed nami perspektywę zwiedzenia kairskiego pałacu Faruka, w którym stworzono muzeum. Jestem przeciwny, ale mnie przegłosowano. Zwiedzamy więc pałac Faruka. Mnie osobliwie przypomina pałacyki łódzkie fabrykantów, tyle że odpowiednio większy, świadczący o bogactwie właścicieli i ich złym gustie. Mieszkanina stylów, wspaniałe upodobanie do przepychu, świecideł, ozdób. Kryształowe schody, pretensjonalnie luksusowe łazienki.

Entuzjazm wycieczki słabnie w miarę wylaniania się coraz to nowych sal i salonów. Chcemy jak najszybciej pokonać tę przestrzeń, lecz Ali nie spiesząc się, z lubością wprowadza nas w dziejczy życia rodziny królewskiej. Dziadek Faruka, Ismail Pasza to był człowiek z fantazją! Przeprowadził wiele reform, uniezależnił się od Turcji, ale był nadzwyczaj rozrzućny i lekkomyślny. I dlatego uzależnił Egipt od mocarstw europejskich. Miał cztery żony i harem składający się z 350 kobiet. Kiedy brakowało mu pieniędzy, sprzedawał klejnoty swych hurys i wstawiał w to miejsce sztuczne kamienie. Sprzedał Anglii prawie 50 procent akcji Kanału Sueskiego. Pożyłszy pieniądze na 30 procent — pęka ze śmiechu Ali, który wie co to jest byznes. Ismail abdykował na rzecz swego syna Fauda, po którym objął rząd Faruk. Zbliżyliśmy się chyba do końca. Oto zdjęcie Faruka, nad nim kartka z kalendarza z datą: 28 VII. 1952 — dzień usunięcia Faruka od władzy.

Dla nas też ulga. Czy chcemy zobaczyć Miasto Umarłych sprzed 450 lat? Czy chcemy zobaczyć pałac Mohammeda Ali sprzed 450 lat? Czy chcemy zobaczyć Bazar Chan el Halil, który ma 540 lat? To wszystko jest w programie wycieczki. Nie, nie chcemy już niczego zobaczyć. Chcemy koniecznie wrócić. Nasze umysłowe możliwości percepcji już się wyczerpały, nasza kondycja fizyczna już się skończyła, nasze nogi odmawiają posłuszeństwa. One nadają się do leczenia. Niech Allah ma w swojej opiece Mohammeda Alego, który źle mówi po polsku, ale za to dobrze organizuje wycieczki.

TERESA WOJCIECHOWSKA

cze miłsza pani Basia Mazurek — młodzież bardzo jest przejęta i poważnie podchodzi do tych spraw; nie traktuje obozu jak czasów — mimo że we wczasowej miejscowości kurs jest ułożony.

Młodzież mieszka w zamku; ciało pedagogiczne w pawilonach parkowych. Wszystkich osób razem z pedagogami i kierownictwem — 60. Ciało pedagogiczne to: rektor Wyższej Szkoły Filmowej, Jerzy Kotowski, mgr Ewa Nagurska i mgr Barbara Pilat. A z Wyższej Szkoły Plastycznej: rektor Zdzisław Glowacki, dr historii sztuki, Henryk Anders i asystent, p. Sliwiński.

Plastycy otrzymują farby, płótno, pedzle, papier itd. do pracy; filmowcy taśmy filmowe, aparaty fotograficzne, kamery do krecenia zdjęć i ciemnię do obróbki laboratoryjnej. W pobliskim kinie odbywają się codziennie projekcje i dyskusje.

Słowem młodzież ZMW roboty ma po uszy i jak zapewniają gospodarze kursu bardzo bierze to sobie do serca. Ciało pedagogiczne powiedziało swoim podopiecznym na samym początku: „Zostawiamy wam zupełną swobodę, robcie sobie co chcecie, ale pamiętajcie, że was widzimy”.

— To się nazywa właściwy chwyt, co, Panie Redaktorze!

Któż to wrytyma na beztrósko i wesoło; mimo upałów i fantastycz-

nej pogody, nie widać młodych ludzi; pochowani w ustroniach malują pejzaże, fotografują i filmują. Ale grupa plastyczna mocno mnie zaniepokoila, Panie Redaktorze!

Jest tam dwadzieścia jeden dziewcząt i tylko jeden chłopiec. Zgroza! Czy to nie jasny dowód, że właśnie od artystów matriarchat się zaczyna? Tutaj widać tylko same dziewczęta malujące na łacie lub pod drzewami; chłopaka ani słychu ani widu. Skrył się tak skutecznie w jakiejś dziurze, że nie wiadomo nawet jak wygląda.

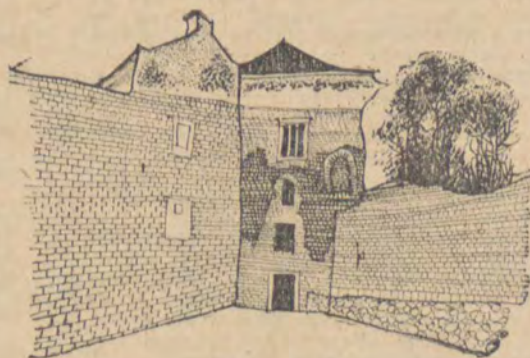
Ciało pedagogiczne wymyśla coraz to nowe zagadnienia dla młodzieży — mało tego! — każe im pisać także coś w rodzaju scenariuszy, czy opowiadań na dowolne, przez siebie wybrane tematy.

Dwa tygodnie to bardzo mało; można powiedzieć, że prawie nic. Ale to już trzeci obóz (dwa poprzednie były w Krakowie) — trochę eksperymentalny. Dla bardziej uzdolnionych i dojrzałych będzie jeszcze obóz zimowy i kursy zaoczne; chodzi tutaj o solidniejsze przygotowanie do szkół artystycznych. Okres trwania kursu jest krótki, ale mimo to jest to olbrzymi skok w porównaniu z przeszłością.

Inicjatorem i organizatorem jest Zarząd Główny Związku Młodzieży

Większej. Pomyśl świetny i mój nadzieję, że po okresie eksperymentalnym kursy takie staną się długofalową i stałą bazą dla młodych ludzi, mogących mieć coś do powiedzenia. Na razie ma budzić — ukierunkowywać — a to już bardzo wiele.

Filmy ogląda się archiwalne, problemowe, często historyczne (z punktu widzenia rozwoju filmu) — mające coś ważnego i istotnego do przekazania. Jedną tylko ciemną plamką w tym filmowym przedsięwzięciu: kino „Ustronie” posiada tak słaby projektor, że z trudem można zobaczyć, co się dzieje na ekranie.



Rozmowy z gospodarzami kursu, tuż nad Wartą, w cieniu wiklinowych krzewów, mieszały się z uśmiechniętym niebem i często przerywane były przez rzekę, która ciągle wtrącała swoje trzy głosy. Nie mówiąc już o pyzatom słońcu, które opowiadało wesołe facecje, kawały i zabawne kalambusy. Tak, że te trzy rozmowy: informację gospodarki, pogawranki wody i chichy-śmichy słońca, ciągle się ze sobą splatały i bardzo możliwe, że w niektórych miejscach wypadły nie tak jak trzeba.

Całe ciało pedagogiczne porozchodziło się do swych zajęć, a ja trochę

rysowałem zamek ale raczej z zewnątrz, bo wewnątrz urządzono go całkiem prawie współcześnie.

I ciągle tu ktoś przyjeżdża z oficeli: to z Zarządu Głównego ZMW, to z ministerstwa, lub z którychś z redakcji. Kursanci zwiedzają także Łódzkie Muzeum Sztuki i bywają w teatrach (dowodzi się ich autokarami). I jeszcze mała informacja: młodzież ta jest z całej Polski.

Sam zamek, pięknie odrestaurowany, jakoś schodzi na plan dalszy jako piękna scenografia dla jeszcze piękniejszych rzeczy, które teraz tutaj się dzieją.

No, ale czas już chyba kończyć całe to pisanie o uniejowskich wydarzeniach. Pojechalismy na podbój zamku; skutek okazał się odwrotny: to my zostaliśmy podbici. Ale bardzo jesteśmy z tego radzi, że piękna zabytkowa budowla stała się siedliskiem dla jeszcze piękniejszej imprezy.

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK

Swit

Kiedy noc zimowa rozpęka
nad miastem w światła rozpadliny,
budzę się w zaprzęsim chutorze,
gdzie śnieg zabarwił się jutrenką.
I w drewni, co przy oborze,
rozłupujemy kłoc sośniny,
ja ojca czy on moją ręką
trzymając siekierę...

Radio

Gdy słucham muzyki
arkadzie wspólne
ontologiczne piekła wspólne

Wątki z ciernia
lub z listka wiosennego
wysnute
Wszyscy jesteśmy ze wszystkimi

Gdy słucham słów
rosną zasy z piasku
ze śniegu zasy
wilcze nad nimi wycie

Zwir w zębach chrząści
ludzie w różnych mundurach
starannie zaminowują pola

Drewniana skrzynka
na okrągłym stoliku
wieża Babel
zielonym drwiącym okiem

Piosenka ciężko chorej

Nie zdążyłam nie powiedzieć nikomu,
od nikogo nie nie usłyszałam,
choć po kryjomu
coraz częściej na to czekałam

Matko, ojcie, doktorze
was się moje czeplają prośby,
pozwólcie raz jeszcze zobaczyć morze,
kosy czerwcowej kośby

Szpitalne łóżko,
zadręczasz kamienną poduszką
Bladoróżowe powoje,
zatrzymajcie wy nogi moje
Umilowane z płyt piosenki,
chronicie przed lękiem

Chmielu, kosmate chmieliny,
zieloną wić
spłemy z moimi włosami,
jeszcze jestem bez własnej winy,
chcę żyć

Gdy przysmakam powieki,
swoje słyszę piskolenie
i fale czarnej rzeki —
a to tylko nocne milczenie

Do sąsiadki zza rzeki

Przyjdź,
dopóki światło nie stopniało na lodzie

Przyjdź,
szybko mego okna ciebie wypatrują

Przyjdź,
aby wszystkie palce pobiegły ku tobie

Przyjdź,
dopóki szadź tylko na świerkach

Przyjdź,
abyśmy mieli o czym wspominać
(Nie do ciebie to piszę i nie dla siebie,
tamta rzeka ledwie płynęła przez pamięć,
imiona czernieją jak gałęzie w listopadzie)



Z tekstu L.T.F. Fot. Z. Bubak

Urlop

Pozwólmymy sobie i innym na urlop!

Jeśli marcowe słońce,
to trawy jak ostre pyszczki,
światło pijące,
pączki
jak budzące się oczy gałęzi.

Jeśli lipy jak barcie,
to poddać się woniom,
polany zadzwonią
we wszystkie dzbanki
pełne poziomek.

Jeśli rude wiewiórki jesienią
rozbiegły się
po lasach i polach,
czekajmy na słoty
pogodzeni.

Jeśli zadymka,
to ileż białych żagli
przyczepionych do drzew,
do lasów,
do rzek.

Nieznajomym mówię:
— Dzień dobry!

Pozwólmymy sobie i innym na urlop!

(Wiersze z tomu „Stara pialnia”, który
ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

Rozmowa

Z WŁADYSŁAWEM RYMKIEWICZEM

na temat
współczesnej
powieści historycznej



Fot. J. Strzemińska.

ODGŁOSY: Zaczniemy od
sprawy najistotniejszej. Ja-
kie są szanse i możliwości
powieści historycznej dzisiaj?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Są-
dzę, że odpowiedź na to py-
tanie należy nieco rozszerzyć,
trzeba bowiem mieć na uwa-
dze trzy rodzaje współczesnej
powieści historycznej. I tak,
pierwszym będzie popularna
powieść historyczna, w któ-
rej anegdota spełnia rolę
czysto przygodową i ma na
celu utrzymanie od początku
do końca zainteresowania
czytelnika. Powieść taka nie
posiada większych wartości
poznawczych. Drugi rodzaj
to powieść o ambicjach po-
znawczych, artystycznych i
historiograficznych. Wreszcie za-
trzeci rodzaj powieści histo-
rycznych uważam utwory, w
których historia jest tylko ko-

stiumem dla wyrażenia treś-
ci współczesnych. Szansa po-
wieści historycznej dzisiaj
będzie oczywiście zależała od
gatunku, jaki ona reprezen-
tuje. Samo słowo szansa ma
tużaj dla mnie dwa znacze-
nia, a więc zajęcie odpowied-
niego miejsca w literaturze
i zdobycie popularności wśród
czytelników. Jeśli chodzi o
to pierwsze, to uważam, że
wspomniana szansa współ-
czesnej powieści historycznej
leży w ścisłym związku z
najnowszymi osiągnięciami ba-
dań historycznych. Przykła-
dem tego rodzaju powieści-
opisania jest twórczość au-
tora „Orłów na sarkofagu”
i „Kłucza ziemi” Zbigniewa
Zielonki, który opiera kon-
cepte swoich powieści na
ścisłym związku z badaniami
historycznymi i ani w pomy-
ślach, ani postaciach, ani w

Miniatury

BERNARD SZTAJNERT

Widelec

Czego właściwie chce ode mnie ten wie-
domy człowiek? Podechodzi do mnie
w parku wczesnym, mówi o książce,
której lekturę mi przerwał, mówi o filo-
zofii, literaturze, religii. Przechadzam się
z nim wokół źródła z tryskającą wodą
mineralną. Gdy opada piana wody, widzę
falujące odbicie jego twarzy, przekrzywio-
ną głowę z dziwacznym, załamany pro-
stokątnie czołem i rękę podniesioną w
niezrozumiałym podnieceniu.
Idziemy razem do restauracji na obiad.
Wbijając widelec w sznycel mówi mi, że
jest fryzjerem, człowiekiem bez cenzury,
dużo czyta, pracuje nad sobą. Przy budy-
niu recytuje swój wiersz:

Krawcy moich ubrań
Szewcy moich butów
Kamieniarze łupiący kamień mego
grobu

Ubrany, obuty, pozostane sobą
Odrębny kamień narasta nade mną —
Bracia moi w wieczność...

Przed wyjściem z restauracji wsuwa por-
wany ze stołu widelec do kieszeni mary-
narki.

Schodzimy do bufetu. Pijemy piwo z wy-
sokich szklanek pod okiem oberkelnera,
który z najwyższym wysiłkiem chroni swą

łyśa, świecąca głowę przed opadnięciem na
bufet w beznadziejną drzemkę. Chwilami w
oczach kelnera świeci iskrą przytomnoś-
ci, patrzy wtedy na fryzjera z rosnącym
zdziwieniem, potem z rezygnacją opuszcza
powieki. Właśnie wtedy fryzjer wyrzuca w
nagłym porwywie korpus do góry i z od-
chylonej polny marynarkę wypada widelec.
Zanim ucieknie brzęk, zanim ober podniesi
powieki, fryzjer porzuca widelec z podłogi
i wtyka go zębami do góry do szklanki z
nie dopitym piwem.

Ober podnosi się z bufetu, objawiając
ogrom swego ciała i sunie ku nam powoli,
powiewając ścierką. Wyrasta biała, płó-
cienna róra nad naszym stołkiem i szeptem
mówi: „Co oni tu podali widelec do piwa —
bez sensu!” — „Po co sens! — woła fry-
zjer — „To tak widelec bez sensu!”

Bez biletu

Byłem dzisiaj na dworcu. Odprowadzałem
jednego z moich przyjaciół. Odjeżdżał w
żółtej koszuli w kwiaty, z wielką, ciężką
walizką. Siedzieliśmy w wagonie pierwszej
klasy. Dwie małe dziewczynki w różowych
sukienkach, wdrapały mu się na kolana.
— Mówiłeś, że nie lubisz dzieci.
— Zmieniam się, jestem jeszcze młody.
— Uśmiechał się zębami. Był podobny do
młodego wilczka.

Położył mi rękę na ramieniu. Mówiłem
mu o mojej książce. Nie wiedziałem, czy
ją wydać, czy złożyć w wydawnictwie.

— Pozwól, że ja zdecyduję za ciebie.
Jutro złożysz.

Wyjął z kieszeni pudełko papierosów:
— Zapali!

— Wiesz, że już nie palę!

— Zapali! Teraz już możesz zapalić.

Paleniem ostatniego papierosa.

— Słuchaj — powiedziałem.

— Co?

— Nic, muszę już wysiadać, pociąg ru-
szy.

— Tak, wysiadaj, bo się spóźnisz.

— Słuchaj.

— Co?

— Pozdrów ode mnie żonę i napisz po-
cztówkę.

— Napiszę list.

— Napisz na pewno.

— Muszę zapisać twój adres. Ja jeszcze
nigdy u ciebie nie byłem.

Wysiadłem. Nie podszedł do okna. Rzu-
ciłem papierosa na szynę. Zasycał paro-
wóz. Odchodziłem do schodów długim ko-
rytarzem. Myślałem, że on chyba nie na-
pisze.

Zatrzymał mnie samotny kontroler:

— To przykro tak wracać samemu.

— Człowiek musi sobie sam wystarczyć.

W grobie każdy będzie sam.

— Niech pan w to nie wierzy, niech pan
w to nie wierzy. Nie wolno tak mówić.

— Zgubiłem bilet peronowy, czy pan
mnie wypuści?

— Niech pan wyjdzie.
Cofnął się — wysoki, czarny, przecina-
jąc szczykami powiekrze.

Wyszedłem bez biletu — tak samo zresz-
tą jak wszedłem uprzednio na peron.

Skóra

To już koniec. Przez trzy dni nie jedli-
śmy chleba. Zenek pętał do mnie przez
rusztowania kolej — wygrzebywałem z roz-
prutego siennika siano. Wacek bił nas i po-
prawiał siennik. W nocy ślałem na kole-
ce. Przykładałem blaszany nóż do prze-
gubu ręki, do piersi. „Tu jest dużo tru-
pów — myślałem. — Ale samobójcy jesz-
cze nie było” — i chowałem nóż pod sien-
nik.

Moje serce uderzało szybko, intensywnie.
„Tutaj mordercy jeszcze nie było — ale
wszyscy są mordercami”. Ułożyłem afo-
ryzm — „Tam gdzie nie ma mordercy —
wszyscy są mordercami”. Myślałem o Wac-
ku. Wacek na wolności był fryzjerem. Był
silny i bił. To on ogolił mi głowę. Dotkna-
łem ręką czaszki. Zalowałem moich wło-
sów, kiedy spadały do kubła, ale potem
przywykłem do nagiej skóry na głowie —
była napięta i gładka. Skóra na tułowi
marszczyła się i zwisała fałdami. Wyda-
wało mi się, że przekraczam coś w niej
w różne strony. Pomarszczone palce tward-
niały — z wolna traciłem w nich uczucie.
Stukałem w ścianę palcem, jak drewnia-
nym kłociem. Zdawało mi się, że to na

faktach nie wykracza poza zakres historii. Powiastanie powieści z nauką nadaje jej dwie cechy; idzie ona wtedy w pewnym sensie w kierunku eseju historycznego i posiada duże znaczenie poznawcze.

Druga, równie ważna dla współczesnej powieści historycznej sprawa, będzie traktowanie jej, jako kostiumu dla wyrażenia współczesnych treści, a więc to, co robi na przykład Aragon w swojej powieści „Wielki tydzień”. Dlaczego widzę ogromną szansę dla tego właśnie gatunku? Bo powieść, w której udokumentowane historycznie wydarzenia stanowią tło, lub więcej wyrażają parabolę, aluzję czy odniesienie do współczesności, daje możliwość alegorycznego dystansu czasowego. I to w dużym stopniu ułatwia autorowi wypowiedzieć. Teraz trochę o szerszej powieści historycznej u czytelnika. Cóż sceptycznie odnoszę się do możliwości większego upowszechnienia powieści z gatunku popularnych. W miarę podnoszenia się kultury czytelnika, odbiorca, sięgając po pozycję historyczną, będzie szukał raczej powieści przekazującej głębsze treści poznawcze, natomiast typ powieści popularnej będzie tracił czytelnika choćby na rzecz kryminału. Przy tym wszystkim na pewno nie straciła na popularności niektóre powieści Łódzkiego, Kraszewskiego i oczywiście Sienkiewicza, który będzie zawsze atrakcyjny. Ale jak to słusznie zauważono, jego zasługa tkwi w tym, że stworzył on nie tyle powieść historyczną, co powieść o charakterze Polaków.

ODGŁOSY: W jakim stopniu różni się współczesna powieść historyczna od powieści dawniejszej?

WL RYMKIEWICZ: Różnica jest bardzo duża. Dawniejsza powieść historyczna była opowieścią o minionych czasach i oczywiście nie rozporządzała takim warsztatem naukowym, jakim rozporządza powieść współczesna. Dzisiejszy twórca, jeśli nawet nie przestrzega tak pedantycznie, jak Zielenka, dokładnego powiązania z faktami historycznymi, szuka i wykorzystuje najnowsze zdobycze w badaniach naukowych.

W rozwoju powieści odbiła się różnica między wiedzą historyczną autorów dawnych i dzisiejszych, a także różnica w interpretacji tych samych faktów i wydarzeń. Dawna powieść, zgodnie z hasłem dziewiętnastowiecznym, pisała „ku pokrzepieniu serc”. Powieść współczesna stawia sobie inne cele. Dla przykładu posłużę się tutaj twórczością Parnickiego. Jego powieści zbliżają się często do zagadki historycznej, a on sam uważa powieściopisarstwo historyczne za sposób dociekania tej prawdy historycznej, której

historycy nie są w stanie wyśledzić czy rozwiązać. Stąd możliwość dociekania typu — „co by było, gdyby”, w dzisiejszej powieści, a czego daremnie szukalibyśmy w powieści dawniejszej, która, jak już powiedziałem, była tylko obrazkiem z lat dawnych.

ODGŁOSY: Jak Pan ocenia współczesną polską powieść historyczną?

WL RYMKIEWICZ: — Bardzo wysoko, a to dzięki takim pisarzom jak T. Parnicki, H. Małewska czy Gołubiew, lub Zielenka. To są oczywiście najwybitniejsi. A przecież i średnia klasa pisarzy osiągnęła pewien poziom.

ODGŁOSY: Czym się w takim razie tłumaczy brak większego zainteresowania krytyki literackiej powieścią historyczną?

WL RYMKIEWICZ: Wydaje mi się, że rozwiązanie tego problemu należy szukać w fakcie konwencjonalnej formy stylizacyjnej i to nawet w najbardziej wartościowych pozycjach tego gatunku. Mało jest współczesnych twórców, którzy by dokonali jakichś poszukiwań natury formalnej; w tym kierunku. Oczywiście trudno jest mówić o antypowieści historycznej, chociaż, moim zdaniem, można sobie taką wyobrazić. Ale stosowanie nowoczesnych środków formalnych, jeżeli nie są celem samym w sobie, jak np. monolog wewnętrzny, symulacjonalizm, retrospekcja, nawet zakłócenie chronologicznego ciągu wydarzeń nie powinno nikogo dziwić.

ODGŁOSY: A kogo ze współczesnych pisarzy historycznych stawia Pan najwyżej i dlaczego?

WL RYMKIEWICZ: Oczywiście Teodora Parnickiego, zarówno ze względu na jego erudycję, jak i twórcze poszukiwania i rezultaty tych poszukiwań. Jego powieści są powikłane, trudno dostępne nawet dla czytelnika inteligentnego. Gdyby np. „Nowa Baśń” była pisana w sposób prosty, obowiązujący w niej wtedy pragmatyka realistyczna, podczas gdy u Parnickiego obowiązuje pragmatyka mistyczna. To są między innymi te poszukiwania, za które go cenię.

ODGŁOSY: Jakie są Pańskie zainteresowania historyczne?

WL RYMKIEWICZ: Wówczas, gdy zajmowałem się popularną powieścią historyczną, moje zainteresowania związane były z XVII stuleciem. Od czasu, gdy bliżej zainteresowałem się historią ziem łódzkich, przekonałem się, że w XIX w. rozgrywały się tutaj wydarzenia, które można nazwać jednym z najbardziej dramatycznych i interesujących w historii naszego narodu. Posunąłbym

się dalej; uważam, iż nie każde polskie miasto prezentuje w XIX i początkach XX wieku takie bogactwo wydarzeń historycznych, jak Łódź i jej rejon. Trzy daty w historii ziem łódzkich są jak gdyby słupami; młotowymi wyznaczającymi jej dalszy rozwój. Jest to rok 1863, którymu poświęciłem „Trzystu pod Dobrą”, rok 1892 opisany w powieści „Widok z Kałóżego Młyna” i wreszcie rok 1905. Chyba w żadnym rejonie rozwój ruchów narodowo-wyzwoleńczych i proletariackich nie osiągnął takiego natężenia, jak właśnie u nas.

ODGŁOSY: Wiemy już jakie są Pańskie zainteresowania historyczne, proszę teraz powiedzieć, czego Pan szuka w historii?

WL RYMKIEWICZ: Przez dłuższy czas pisałem popularne powieści historyczne z uwzględnieniem ich znaczenia popularyzującego ruchy plebejskie, względnie narodowo-wyzwoleńcze w naszych dziejach. Zwrot w typie mojego powieściopisarstwa datuje się od książki „Trzystu pod Dobrą”, a jeszcze bardziej od następnej powieści „Widok z Kałóżego Młyna”. Krytycy zauważyli tam próbę odniesienia faktów historycznych do współczesności. Ponieważ zgadzam się z powszechnie podzielanym poglądem, że teraźniejszość tkwi głęboko w korzeniach w przeszłości, w moich ostatnich, wymienionych tu dwu powieściach, a także w nowej, którą „łożyłem w wydobawie, wierzę, że wykręci te związki, jakie istnieją „między dawnymi a nowymi laty” i wypowiedzieć treść tych związków pod kątem powieści historycznej.

ODGŁOSY: Proszę nam jeszcze powiedzieć o planach na najbliższą przyszłość.

WL RYMKIEWICZ: W tej chwili złożę w Wydawnictwie Łódzkim nową powieść pt. „Czas pojednania, trawa porośnie”. Będzie to powieść o roku 1905, a zarazem trzecia, kończąca cykl łódzki. Jej główną osią fabularną jest dramatyczna przeciwstawność poglądów pomiędzy partią robotniczą — Polską Partią Socjalistyczną i Socjaldemokracją. Bohater tej powieści jest wzorowany w dużym stopniu na znanym rewolucjonście łódzkim, Stanisławie Pestkowskim, który pochodził z drobnego ziemiaństwa i zbudowany przeciwko swemu środowisku, starał się zerwać wszelkie więzy i tradycje łączące go ze światem, z której pochodził.

I tyle, najogólniej, o moich planach.

ODGŁOSY: Dziękujemy bardzo za interesującą rozmowę.

Rozmawiała:

BOGDA MADEJ

PODKA z Książkami

ŚMIERĆ I MIŁOŚĆ

MOIM głównym zamiarem było nakreślenie nieuniknionego konfliktu między namilnieniem i małżeństwem w kulturze zachodniej — zauważa Denis de Rougemont we wstępie do swych studiów o miłości Tristana i Izoldy i jego promieniowaniu na sztukę i moralność. Stwierdziwszy wieczną aktualność średniowiecznej legendy rozpatruje ją „jak ko schemat związków mężczyzny z kobietą w danej społecznej sytuacji historycznej” i poszukuje jej potwierdzeń i przekształceń w całej późniejszej historii literatury Zachodu a także w praktyce społecznej.

Tego rodzaju analiza służy postawieniu daleko idących hipotez dotyczących współczesnej chrześcijańskiej koncepcji małżeństwa, wierności, szczereści, hipotez, ponieważ autor bąże na materiale historyczno-porównawczym, często, niestety, z pominięciem faktów społecznych, które w warunkach burzowego społeczeństwa, tylko wyjątkowo pozwoliłyby zdefiniować małżeństwo jako „instytucję, która hamuje namilnienie nie dzięki zasadom moralnym, lecz przez miłość”. Jest to, niestety, definicja wyprana ze wszelkich uwarunkowań społecznych i jako taka może na nas oddziaływać tylko urodą swoich sformułowań, podobnie, jak pierwsze zdanie „Tristana” w wersji Bédiera: „Czy chcecie, szlachetni panowie, usłyszeć piękną opowieść o miłości i śmierci?”

Toteż wartość pracy Rougemonta nie polega na aktualizacji mitu wyśpiewanego przez trubadurów i trudnych do przyjęcia końcowych wnioskach, o wiele cenniejsze wydaje się nowe podejście do tego podania, spojrzenie na „Tristana” jako na problem cudzołóstwa, w którym przeplatają się pojęcia moralne i amoralizmu

współne wszystkim opowieściom romansowym.
K. F.

Denis de Rougemont „Miłość a świat kultury zachodniej”, z francuskiego przełożył Lesław Eusta chiewicz, „PAX”, 1968, str. 269, cena zł 30.

STO DNI ODPUSTU

POWIEŚĆ Feliksa Netza jest prozatorskim debiutem książkowym autora, który ma już w swoim dorobku szereg publikacji w prasie literackiej, a także wydany w bieżącym roku tom wierszy „Związek zgodny”. Akcja „Stu dni odpustu” dzieje się na współczesnej wsi polskiej. Mimo jednak wielu realiów wiejskiego życia, mimo wielu problemów nurtujących wiejskie społeczeństwo, książka Netza nie możemy traktować jako powieści wiejskiej. Na pierwszy plan wysuwa się tu bowiem postać młodego bohatera, studenta polonistyki, który ucieka z miasta przed trudnymi problemami wymagającymi określenia własnej postawy. Ucieka właśnie na wieś traktując ją na początku jako miejsce odpoczynku od ludzi i zdarzeń, od których chciał się uwolnić. Oczywiście izolacja jest nie możliwa — to przed czym uciekał osacza go w nowym środowisku. Wiek tętni życiem obfitującym w bardzo dramatyczne wydarzenia, życiem które wchłania przysięgę z miasta. Autor kreśli sylwetkę dojrzałego do dorosłego życia chłopaka, którego konfrontować ustawicznie poglądy własne z opiniami i przeżyciami innych.

Akcja powieści toczy się wartko, autor nie ucieka od opisu codziennego życia i złożonej problematyki środowiska. Cieszy fakt, że proza młodego autora jest dojrzała. Netz wzbogaca kompozycję o elementy

retrospekcji i monologu wewnętrznego. W sumie „Sto dni odpustu” — to książka którą trzeba po lećci uważać czytelnika.
B. M.

Feliks Netz — „Sto dni odpustu” — Wyd. „Śląsk” 1968, cena 14 zł

TESTAMENT OLIIWI

CYTELNIKÓW książka George Bidwella uciecha z pewnością cię fakt, że na książkach ładach ukazała się trzecia i ostatnia część z cieszącego się dużą popularnością historycznego cyklu, którego poprzednie tomy ukazywały się pod tytułem — „Oliwia i Filip” oraz „Adam, syn Oliwii” w latach ubiegłych.

G. Bidwella pisarza angielskiego, który po przyjęciu obywatelstwa polskiego osiadł u nas na stałe, przedstawia nam trzecią, przedostatnią część cyklu, przypatrzmy się zatem bliżej testamentowi Oliwii. Już tytuł sugeruje czytelnikowi, że bohaterką wiążąca całość cyklu umiera, zostawiając testament, który wprowadzi wiele zamieszania wśród rodziny. Ale nie to jest najważniejsze. Autor, z właściwym sobie rozmachem, opowiada o życiu bohaterów, każąc im czynnie uczestniczyć w burzliwych wydarzeniach szczyłku XIX wieku w Anglii. Działalność socjalistów, coraz prężniejsze walki proletariatu londyńskiego z końcową sceną strajku dziewcząt — robotnic, no wa, społeczna świadomość młodej inteligencji, którą w powieści reprezentują Sylwia i Nevill Bryant, o najważniejsze problemy historyczno-społeczne epoki, którą autor przedstawia czytelnikowi. Chwilę wytchnienia od tych poważnych problemów znajdziemy w ciepłym klimacie domu Sylwii, czyw śledząc kolejne etapy miłości dwojga młodych ludzi.

I tym razem nie zawodzi proza Bidwella, prosta i lapidarna albo lutowa wolna od skomplikowanych figur stylistycznych. Dlatego „Testament Oliwii” należy do książek, które czyta się szybko i z dużą satysfakcją.

B. M.

George Bidwell — „Testament Oliwii”, LSW, 1968, str. 322, cena zł 22.

Miniaturowy

moje pukanie odpowiada dalekie detonacje.

„Coraz bliżej” — powiedział Zenek siadając na kocy. „To potrwa jeszcze tylko kilka dni”. O świecie obudziła nas artyleria. Siedzieliśmy obejmując rękami kolana. Moja skóra pozostała gładka — mówił Wacek. — A wy jesteście pofaladowani jak nosorożce — wygłodził nosorożce. „Niedługo zamienimy się na skóry” — powiedział Zenek. „Ty będziesz pofaladowany a my głady”. „Opowiem wam bajkę” — powiedziałem i oparłem się o ścianę.

„Był w dawnych czasach pewien potężny czarownik, w ciągu dnia żył jak wszyscy ludzie, a w noc mocą czarodziejskich zaklęć zrzucał ludzką skórę i przybierał postać wilka...”

„Cicho — zawołał Wacek. — Słyszycie to karabin maszynowy. Jak Boga kocham to karabin maszynowy — zupełnie dobrze słychać...”

Pukałem pomarszczonym palcem w ścianę...

Piec
mego
dziadka

W dzień swojej śmierci dziadek usiadł na łóżku i krztusząc się papierosem, pole-

cił mi szeroko otworzyć szafę. Długim, złotym palcem wskazywał wiszące szeregami garnitury i lśniące na dolnych półkach buty: „Wyjmij ten, popielaty i granatowy, z kamizelką, z kamizelką!” Wieszaleń ubrania na krzesłach przed dziadkiem. Pokój był już pełen tych sztywnych gości bez głów. Wyciągałem buty i stawiałem u nogawek spodni, na podłogę.

„Siedem garniturów — powiedział dziadek i pokłapał głową patrząc na mnie z wyrzutem. — Zie ciebie uczył, bardzo źle, głupia taka nauka. Te wszystkie ubrania będą po mojej śmierci i buty, buty też zostaną. A piec...”

Popatrzyłem na duże kafe nowego pieca. „Może powiesz, że pieca też nie ma? Ja ten piec sam stawiałem. Jest taki, jakim go widzieli. Piękny piec i nie ma żadnej drugiej strony, chyba że gliniana. Każdy kafe obracałem w ręku! Podaj mi ognia i posyp cukrem cytrynę! Przyjdzie matka, to może zabrać garnitury i buty. Ja tam tobie nie... Chyba, żeby ona chciała...”

Noc
majowa

„Nie krzycz, nie krzycz, Ireno — obudzisz cały dom. Jest już druga godzina”. To trzeci atak w tym tygodniu. Irena zaciska białe zęby i masuje brzuch. Nie

mogę zdrętwiałymi nogami odnaleźć pantofli. W pokoju jest zimno. Szybko wchodzę do kuchni i zapalam gaz. Z termoforem w ręku operam pęcy o kuchenny kredens. Gdy tracę na moment równowagę — brzęczą cicho półmiski i talerze.

Jutro rano porozmawiam z szefem. Dlaczego od czterech lat nie dostaję podwyżki? Przecież pan wie, dyrektorze, że pracuję starannie. Od lat pierwszy przychodzę do biura. Wie pan przecież, dyrektorze, że jestem lojalny, że pana broniłem wtedy... Wie pan, że pana lubię, że może pan na mnie liczyć. Jestem panu wdzięczny, mówię zawsze prawdę. Jestem człowiekiem zupełnie wolnym od tanich pochlebstw, od serwilizmu. Więc dlaczego, dlaczego od tyłu lat?... Moja żona jest ciężko chora. Ma jakieś ataki gwałtowne, bóle w jamie brzusznej. Nie mam pieniędzy na porządne lekarstwo. Nie wiedzą nawet, co jej jest... Dlaczego noc jest taka zimna? To jest przecież maj, wiosna. Kiwam się na nogach, głowa opada mi na piersi. Półmiski brzęczą w kredensie. Pamiętam młode brzozy wiosną. Dlaczego pocię nie chcą już pisać o brzożach. Podobno Tuwim mówił z niesmakiem, że nie można już pisać wierszyków o brzożkach. Ja wiosną w brzożowym łasku — poczułem, że wszystko przegrałem, straciłem. Rozmawiałem się z czymś niesłychanym, wspaniałym i nigdy już nie spotkam... Czego? Nie potrafię powiedzieć — ale moja rozpacz była bardzo konkretna. Trzeba jeszcze się wyspać. Żebym jutro miał siły i pewność siebie, żebym był skupiony i opany. Powinienem go prze-

nać — jestem przecież bardzo przyzwolnym człowiekiem. Obaj jesteśmy socjalistami, bez poży i koniunkturalnych gier. Ja wiem, że on jest socjalistą i on wie, że ja jestem socjalistą. Znamy się i rozumiemy. „Pan przecież rozumie, że miałem odwagę stać się egzo reakcjonistą, że angażowałem się, że nie ulekiem się wrzeszczących lewaków i demagogów”.

Znowu brzęczą półmiski. Wlewam gorącą wodę do termofora i powoli czapię do sypialni. Pali się lampka nocna. Jest cicho. Irena spokojnie śpi. Oddycha ustami. Jak spokojna jest jej twarz! I na mnie spływa sen. Stoję z termoforem oparty o poręcz łóżka. Potem zdaję się wisieć w przestrzeni — rękami uczepiony gorącej bryły. Nigdzie nie ma żywego człowieka. Jest zimno, ciemno, ogrzać się mogę tylko o tę gorącą bryłę — mały, przygodnie spotkany meteor.

Któż to westchnął? Przecież nikogo nie ma! Czyżbym ja płakał? Nie, to tylko otwarty termofor przyciskałem rękoma do piersi i powietrze wyszło z bolesnym westchnieniem.

Irena uśmiecha się do mnie białymi zębami i zlewa przeciągając swe duże, silne ciało.

„Chodź do łóżka. Prześń tu się kiwać z tym termoforem”.

Podnoszę koldrę i zrzućam pantofle. Jutro muszę porozmawiać z naszym dyrektorem.

Teatralne propozycje

W poprzednim odcinku „Co słychać w dramaturgii łódzkiej?” pisałem o sztuce Władysława Orłowskiego „Pięty lot”, nawiązując do „Bereziaków” Karola Obidniaka. Oba łożdżanie są autorami kilku sztuk pełnospektaklowych, z których prawie wszystkie były grane na łódzkich scenach.

Sezon teatralny 67/68 zapoczątkował coś, czego wprawdzie nie można włączyć w nurt otwartego życia teatralnego i pod tym kątem omawiać, jednakże można i należy mówić o tym w ramach „co słychać w dramaturgii łódzkiej?”.

Wiosną br. rozpoczął swoją działalność w naszym mieście Teatr Propozycji Polskiej Sztuki Współczesnej przy Zarządzie Okręgu SPATIF i ZLP. Twór ten, nie będąc teatrem w popularnym tego słowa znaczeniu, jest nim w bardzo specyficznym, ale istotnym sensie.

Jeżeli przyjmiemy, że teatry łódzkie, z ich pięcioma scenami dramatycznymi, spełniają rolę „dawców” sztuki dla szerokiego kręgu odbiorców, to podobną rolę wobec teatrów łódzkich miałby spełniać Teatr Propozycji. „Propozycja” zatem dotyczy głównie funkcji a nie konwencji czy koncepcji artystycznej teatru.

Teatr Propozycji kolejno prezentuje na pokazach kompetentnym i cynicznym, kierownictwem scen łódzkich, ludziom teatru, literatury, krytykom teatralnym i zaproszonym gościom współczesną dramaturgię, niekoniecznie w skończonym kształcie scenicznym. Liczy się oczywiście w pierwszym rzędzie na pisarzy i autorów z łódzkich środowisk twórczych. Pokazy odbywają się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, w foyer Małej Sali Teatru Nowego.

Sztuka jest odczytywana przez aktorów scen łódzkich. Oczywiście po kaz taki poprzedza reżyseria i próby czytania. Nie ma dekoracji, kostiumów, a ruch i gest jest ograniczony do minimum. W ten sposób, rozbity na głosy osób dramatu, tekst zostaje podany do analizy i dyskusji obecnym na sali gościom, jak również wykonawcom i autorowi, bez przypisywania inscenizacyjnych i interpretacyjnych. Nie ulega wątpliwości, że jest to teatr odarty z uroków i sugestijności, jaką przydaje, nawet słabemu utworowi, utalentowana interpretacja reżyserska i scenograficzna. Jest to jednak niezbędne (jak dotychczas), bowiem analiza i dyskusja podlega nie spektakl teatralny, lecz utwór, który jest potencjalnym kandydatem do pełnej realizacji scenicznej czy telewizyjnej.

Dotychczas „poddano prezentacji” trzy utwory. Pewnym zaskoczeniem dla organizatorów i wykonawców

jest to, że forma przekazu sztuki, którą stosuje Teatr Propozycji, mimo całej swej ascezy, działa na widownię w sposób bardziej teatralny niż przypuszczano. Nie wiadomo jednak czy jest to powód do radości. Okazuje się bowiem, po raz nie wiadomo który, że dobrze czytając tekst — nawet nie grając — można złagodzić fragmenty jego formalnej i treściowej słabości. Dobrze oddana melodia słowa i urok osobisty wykonawcy usypia czujność nawet uważnych słuchaczy.

Nie wiadomo jednak czy jest to powód do smutku. Przemyślenia — bo i tak można nazwać pokazy TP — byłyby zbyt surowe, gdyby nie zawierały tej szczypty zauroczenia, które niesie teatr z całą swą magią. Bywa niekiedy w tekście dramatycznym wartość wymykająca się analizie i ocenom dopóki poezja brzmienia, poezja gestu, światła, obrazów i ruchu, wydobyla gdzieś — wydawałoby się — z marginesu tego tekstu, nie okazała jego pełni prawie irracjonalnej. Myśla, że jest to scenicizacja utworu; bardzo trudna do zauważenia w cichym czytaniu, a już łatwiejsza w głośnym i rozłożonym na role. Bywa niekiedy odwrotnie, że taka próba analityczna utworu obnaża jego całą ascenicizację.

Wydaje się, że oprócz rzeczowej analizy i dyskusji nad tekstem oraz z wnioskami stąd płynącymi zarówno dla gości zaproszonych jak i autorów sztuk — jest sprawą dużej wagi udział w spotkaniach tych właśnie ludzi teatru, dla których wykrywanie scenicizacji utworu, to — „chleb powszedni”. Chciałbym również zauważyć, że — niezależnie od laboratoryjnych i czysto praktycznych cech (odpada czytanie w zawodowych teatrach sporej ilości współczesnych sztuk polskich) Teatr Propozycji ma szansę wypracowania sobie jak najfunkcjonalniejszej w stosunku do zamierzeń interpretacji polskich sztuk współczesnych. A od tego już blisko, wprawdzie nie do odkrywczych, ale do odrębnego traktowania teatru.

Pierwsze kroki Teatru Propozycji można uważać za udane tak pod względem frekwencji i zainteresowania, jak żywości i poziomu dyskusji. Wiele oczywiście zależy od utworów, którymi dysponuje i będzie dysponował TP. Jednakże już dziś nie ulega wątpliwości, że tego typu spotkania teatralne powodują ferment intelektualny, działają pobudzająco i zapładniająco; tym bardziej, że form inspirowania twórczości i szans jej konfrontacji z teatrem nie mamy za wiele. Każdy, kto interesuje się dramaturgią, wie, że odczuwa się brak współczesnych sztuk polskich w teatrach. Przy układaniu repertuarów jest to najbardziej kłopotliwa pozycja. Zamiast słabej dewizowej sztuki lepiej wystawić polską na tym samym poziomie, ale i z tym są kłopoty.

Teatr Propozycji rozpoczął swoją działalność 8 kwietnia 1968 r. pokazem sztuki Henryka Czarneckiego „Pan w ciemnych okularach”, w obsadzie: Wojciech Pilarski, Jan Zdrojewski, Bohdan Mikuć, Maciej Grzybowski, Ewa Mirowska, Barbara Wałkówna i Maria Wilhelm. Reżyseria: Bohdan Mikuć.

Sztuka refleksyjna, napisana mi-

łym poetyckim stylem. Dość zrecznie zakomponowana jednoaktówka.

6 maja br. prezentowano sztukę Wojciecha Jerzego Wójcika pt. „Ja zostaje”. W obsadzie: Andrzej May, Izabella Pięńkowska, Maciej Malek, Michał Szewczyk, Zbigniew Geiger, Bohdan Mikuć, Adam Daniewicz, Dobrosław Mater. Reżyseria: Bohdan Mikuć. Sztuka napisana z dobrym wyczuciem sceny, porusza sprawy tzw. bananowej młodzieży. Autor demonstruje umiejętność obserwacji i dobry słuch językowy, w związku z czym postacie dramatu cechuje autentyzm i drapieżność. Przy poszerzeniu perspektywy socjologiczno-filozoficznej utworzyskałaby głębię i rozległość.

Te właśnie zalety posiada sztuka Zofii Lorentz „Pierwsza runda”, prezentowana 3 czerwca br. Z kolei pewne niedostatki w konstrukcji dramatu i jego dynamizacji osłabiają trafność założeń intelektualnych i sprawność dialogu. Zaważyło tu niewątpliwie literackie traktowanie teatru przez znaną pisarkę łódzką.

„Pierwsza runda” zyskała duży aplauz publiczności, a ożywiona dyskusja — zresztą jak na wszystkich spotkaniach — bez „podżegania” ze strony niżej podpisanego (prowadzący dyskusję na spotkaniach) grubo przekroczyła czas przepisowych trzech rund...

Odnosi się wrażenie, że spotkania w Teatrze Propozycji utrafiły równie w naturalną a nie wyżyty potrzebę środowiska łódzkiego.

Na zakończenie kilka słów o jeszcze jednym wydarzeniu z cyklu: „Co słychać w dramaturgii łódzkiej?”

Wiadomo, że Tadeusz Papier jest prozaikiem, że ulubioną jego tematyką, to wieś polska. Nie więc dziwnego, że autor „Powrótnie śmierci Boryna”, pisarz zafascynowany Reymontem i znaną jego twórczością, opierając się na motywach „Chłopów” i na zapisach folklorystycznych, stworzył widowisko słowno-muzyczne — barwne, jedne i pełne wdzięku pt. „Wesele Boryna”. Gatunek scenicznego rzadki i raczej uprawiany przez zespoły amatorskie. Dobrze jednak postąpiła Łódzka Estrada, włączając to wzruszające widowisko do swego repertuaru. Bo dajże od czasów schillerowskich „Krakowiaków i górali” nie widziałem spektaklu tak sprawnego a przy tym nie z fałszowanym, landrynkowym pseudo-folklorem, lecz prawdziwym, opartym na autentycznych przypływach i pieśniach z regionów Łowickiego i Skierniewickiego.

Małe mankamenty są łatwe do usunięcia, zważywszy, że całość reżyserował z wyczuciem i zmysłem Włodzisław Skoczyński.

Henryk Szwajcer stworzył jedyną i plastyczną postać Boryna, Iwo na Skoczyńska pokryła mi sie z wyobrażeniem Jagusi reymontowskiej. Podobną rolę również Mariusz Kwiatkowski w roli Wójty i Helena Rejszewska jako Dominika.

Kapela pod kierownictwem Zenona Jagielly. Opracowanie muzyczne Janusz Kaźmierczak. Scenografia Zdzisław Pagowski. Choreografia Jan Nachrtzer.

Tyle — na razie — na temat: „Co słychać...?” Chciałoby się jak najwięcej.

OBIEKTYW

Racine i sprawa aktorstwa

Urokiem teatru TV jest jego różnorodność, wielka swoboda repertuarowa, która po zwala obserwować jak rozmaite tworzywa dramaturgiczne sprawdzają się na małym ekranie. Wielki mistrz klasy cznej tragedii francuskiej Jean Racine nie po raz pierwszy prezentowany był w telewizji. Pamiętam jeszcze znakomite przedstawienie „Fedry”.

Ostatnio w ramach V Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych oglądałami „Brytannika” Racine’a. Wystawiał go zespół Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, reżyserem spektaklu był Bohdan Czechak.

Mówi się często, że Racine wymaga znakomitego aktorstwa. Myślę, że to dość słogane stwierdzenie wymagające pewnego rozwinięcia. Ostatecznie dobre aktorstwo przydatne jest w każdym wypadku. Kiepski tekst może podrażniać, a znakomitemu doda blasku. Postarajmy się jednak wyjaśnić, dlaczego w wypadku Racine’a aktorstwo jest szczególnie ważne. I to w telewizji może jeszcze bardziej niż na scenie.

Racine nie tylko tematykę swych tragedii czerpał ze starożytności. Autentyczny dramat był dla niego swobodnym wzorem. Gdy jednak dramaty greckie tętniły życiem, przedstawiały widzom problemy uniwersalne, konflikty moralne mogące wstać w każdym czasie i w każdym środowisku — tragedie Racine’a dotyczyły przede wszystkim władców i klas panujących. Znakomity krytyk niemiecki Erich Auerbach, którego słynne dzieło „Mimesis” ukazało się ostatnio na naszych półkach księgarskich, pisał, że bohaterowie Racine’a nawet w namietnym uniesieniu nie zapominają o swej bełkotliwej kondycji.

Konflikty, jakie spalały tych bohaterów, są typowe dla władców, od których postawy moralnej, szlachetności lub nikczemności zależa losy

całych narodów. Racine upraszcza przy tym zagadnienie. Nie ukazuje władcy w całym społeczeństwie, jakie niesie polityka, ekonomia, sytuacja społeczna. Wraz z gronem swych najbliższych doradców władca działa jakby w izolacji od czynników zewnętrznych. Walka o duszę władcy, o wpływ, na niego, jaka toczy się w „Brytanniku” zadecydować ma, jaka będzie przyszłość Rzymu.

Takie właśnie wyizolowane bohaterów przez autora, wyniesienie ich ponad lud, odrzucenie konkretnych realiów rządzenia, a pozostawienie nie w ich miejsce tylko ogólnikowej problematyki moralnej, powoduje, że tragedie Racine’a są patetyczne. A stąd jeden krok do koturnowości, nawet śmieszności.

Dlatego na aktorach spoczywa wielkie zadanie, by nie spłyć Racine’a, by nie odebrać kreowanym postaciom ich wzniosłości i nie uczynić z nich zwykłych osobników w formacie mieszczańskiego teatru. Wtedy bowiem wymiar klasycznej tragedii surowadzi się do rodzinnych swarów i intrzy dworskich, a nie o to przecież u Racine’a chodzi.

Nielatwo aktorowi przesiąść się na właściwą dla tragedii klasycznej tonację. Zwalczając współczesnemu aktorowi, który przyzwyczajony jest albo do roli realistycznych, tkwiących w konkretnych warunkach, albo do grania z tak zwanym dystansem, do niepełnego identyfikowania się z kreowaną postacią.

Obie metody aktorskie są w wypadku Racine’a nieprzydatne. Wymaga on od aktora pełnego zaangażowania, a jednocześnie zmusza do nieustannej świadomości, że tragedia nie rozgrywa się wśród zwykłych śmiertelników, lecz wśród elity, w której łonie rozstrzygała się sprawy wielkie i decydujące.

Aktorzy z teatru częstochowskiego nie oswojeni z telewizją natrafili w wypadku „Brytannika” na poważne trudności. Mimo ambicji nie udało im się przekroczyć barier poprawności. Dlatego przedstawienie nie potrafiło chyba rozgrzać widza, uswiadomić mu formatu soraw, których jest świadkiem.

Odtwórca roli Nerona, Z. Kłopecki, potrafił sygnalizować tylko, że młody cesarz ma zadatki na obłąka. Akcentował to wzrokiem i gwałtownymi zmianami intonacji. Obłęd Nerona jest faktem historycznym, ale Racine ukazuje cesarza w momencie granicznym, kiedy wstępuje on na drogę tyranii, okrucieństwa i bezprawia. Sądze, że za mało podkreślił aktor momenty wahania władcy i ssoniowego skłaniania się ku zbrodni.

Nie w pełni zadowalała również gra M. Drzewieckiej jako Agrypiny. Zbyt zewnętrznie traktowała aktorka godność cesarzowej-matki. Za bardzo była ambitna i zaangażowana w intrzykę kobietą, a za mało herona opanowaną demonem władzy.

Przykro to stwierdzić, ale telewizja odsłoniła w sposób bezlitosny słabości częstochowskiego spektaklu, sprawdziła wzniosłość i szarpaną wielkimi namietnościami tragedię do poziomu codzienności.

Ale owoi droga tesko już człowiekowi za spektaklami przygotowanymi specjalnie dla teatru TV! Wiadomo, że przeniesienie przedstawień teatralnych do studia to tylko półśrodek, nie dający widzowi pełnej satysfakcji. Ale na nowe premiery w teatrze TV musimy jeszcze parę tygodni poczekać.

ELŻBIETA LUKASIEWICZ

Władysław Górnym

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Filmy rumuńskie docierają do nas dość sporadycznie. W ubiegłym roku na polskich ekranach gościły tylko dwie pozycje — „Tune” i „Walczyń przeciw rzymskim legionom”, mało dla tej kinematografii reprezentatywne. W roku bieżącym otrzymaliśmy identyczną porcję filmów, o równie niktłych treściach filozoficznych i intelektualnych, równie mierną pod względem artystycznym. Po manierycznych „Porankach młodości” oglądać mamy „ZNAK PANNY” Manole Marcusa, pretensjonalną i mocno odziedzioną tragedię współczesną, opartą na motywach dramatu antycznego. Schemat kompozycyjny filmu oparty jest na recepturze typu „Czarny Orfeusz”, a więc mamy tu do czynienia z trawestacją dość popularnego mitu, opiewającego o nieszczesnej a grzesznej miłości boskiego rodzeństwa, Afrodyty i Dionizosa. W „Znaku panny” mitologiczni kochankowie mają swe odpowiedniki w rzeczywistości współczesnej rumuńskiej wsi. Akcja filmu usytuowana jest w Dobruży, okolicach zasobnych w zabytki grecko-romainskiego antyku. W tym regionie bardziej, niż w innych częściach Rumunii żywe są tradycje kultury antycznej, które kulturowe się między innymi w postaci widowisk wzorowanych na tragediach greckich.

W jednej z wiosek położonej nad brzegami Morza Czarnego trwają właśnie

nie przygotowania do święta ku czci boga urodzaju i wiaorosi — Dionizosa. Miejscowy zespół teatralny przygotowuje widowisko, w którym główną rolę Afrodyty i Dionizosa grają zakochani w sobie Dita i Dionis. Podczas tych uroczystości odbywa się również ich ślub. Przedtem jednak matka Dity wyjawia od dawna żywo nie przeświadczenie, iż Dita i Dionis są rodzeństwem. Apeluje do Midii, matki chłopca, aby pomogła udaremnić kazirodczy związek. Przypomina wydarzenia sprzed lat, gdy to obecny jej mąż, już po ślubie wracał do zakochanej w nim Midii... Młodzi dowiadują się, że to o czym plotkowano od dawna jest prawdą — nie potrafiła jednak przestać się kochać, nie mogą też żyć jako brat i siostra. Przywodzi ona na myśl herosów klasycznej literatury — Romea i Julię, Ferdynanda i Luizę, którzy nie chcieli żyć, ponieważ wolność ich uczuć sprzeczała była z konwencjami okresu, w którym żyli.

Mimo jednak, iż przepadamy za dramatycznymi historiami z cyklu „serce w rozterce”, film ten nie jest w stanie obudzić w nas jakiegokolwiek reakcji. Fabuła skonstruowana jest z dwóch wątków: usytuowanego pod znakiem Koziorożca (zwanego po grecku „trasos”, od którego to słowa tragedia zapożyczyła swą nazwę), pla-

nu tragedii Dity i Dionisa i ich rodziców oraz drugiego — wątku gorących przygotowań do karnawału. Jednakże oba plany nie łączą się niejako spontanicznie, nie tworzą integralnej całości, wręcz przeciwnie, zestawienie ich wnoszą do całości kompozycji pewien zgryz. Wyraźnie są również usterki inscenizacyjne: bałaganie ku czci rozpasanego Dionizosa przypomina raczej senny orszak Armii Zbawienia, a Romeo i Julia z rumuńskiego kolchozu, koturnowe postaci upopławane teatralnie, przez mawiające pompacyjnie, to znów z obiegową egzaltacją, śmieją nas do głębi.

Reżyser posługuje się łatwym schematem fabularnym — typowym „wyciskaczem łez” stereotypowo kontrpunktuje oba wątki wedle zasady — dramatyczna scena kameralna, orgiastyczna (w założeniu) scena masowa. I ta metoda łopatologicznego obrazowania koneksji z mitologią, oraz typowo artystowskie ujęcia realizowane w myśl reguły „im dziwniej tym lepiej”, bynajmniej nie kwalifikują filmu do rangi arcydzieła. Lecz dramatyczna historia o pożalowania godnych losach nieszczesnych kochanków, mitologiczne asocjacje, malownicze estymacolorowe pejzaże, to zapewne dość aby zapewnić filmowi powodzenie.

szmarnym nalogiem, dręczącą pasją, Belmondo, trawestując Gombrowicza „jak rabował to już całym swoim jestestwem”. Fabuła filmu ma kształt przekornej, satyrycznej opowieści filozoficznej o osobliwych losach złodzieja-myśliciela. Smetne spojrzenia, egzaltowane deklaracje filozoficzne, równa stylizacyjnie, straszliwie serio-gra aktorów, liczne akcenty paradygmatyczne, składają się na utwór filozoficzny, dowolny, pełny wdzięku — specjalnie de la maison francuskiej kinematografii, dowód inwencji artystycznej i umiejętności warsztatowych reżysera i pozostałych współtwórców filmu.

Wkrótce będziemy mieli prawdziwe szczęście zobaczyć na ekranach niezwykłą komedię autorstwa Louisa Malle’a pt. „ZYCIE ZŁODZIEJA”. Malle’a nie trzeba specjalnie prezentować polskiej publiczności, pamiętamy go świetnie jako twórcę popularnego filmu „Vive Marie”. Młodego człowieka z wielką maestrią kreujące go główną rolę znamy również doskonale — to Jean-Paul Belmondo, aktorzy młot francuskiej „nowej fali”, naliczający angażowany aktor francuski (10 lat — 40 ról!). Belmondo, zwykle nonszalancki i spontaniczny, grający samego siebie — młodego współczesnego człowieka, tym razem wystąpił w fin de siecle’owym kostiumie z początku dwudziestego

wieku. Przedziwna i groteskowa to postać, złodziej — filozof, traktujący swe zajęcia na zasadzie fatalistycznej konieczności, nieuniknionej Losu. Bo profesja owa wydawała mu się powinnością, jedyną koniecznością jego życia. Mimo znacznego majątku, miłości pięknej żony, nie potrafił już przestać kraść — „robota” stała się czynnością mechaniczną, wręcz organiczną jak oddychanie, spożywanie nośników, poruszanie się. Belmondo celebrował swój zawód w kontemplacyjnym skupieniu, przywłaszczał sobie cudze mienie z głęboką namietnością i... wielkim smutkiem — w trakcie nustoszenia jednego domu musiał myśleć już o następnym i jeszcze następnym „skoku”. Czynność stała się ko-



Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MIRÓ W 75-LECIE URODZIN

* 75-lecie urodzin hiszpańskiego malarza, związanego swą artystyczną działalnością z Francją. Juana Miró uczczono zostało m. in. wielką wystawą retrospektywną artysty w Fundacji Maeght w Saint-Paul-de-Vence. Miró pokazał 180 dzieł głównie płócien, a także

Obchodząc swe siedemdziesiąte piąte urodziny malarz obchodzi również 50-lecie przyjazdu do Paryża. Zaznajomiwszy się jeszcze w Barcelonie z ruchem dada. Miró poznaje następnie Picassa, Duchampa, Max Jacoba, André Massona, Jacquesa Préverta i w roku 1924 wiąże się ściślej z ruchem surrealistycznym. Już druga



Juan Miró. „Wenus morza” 1968.

rzeźbę monumentalną i ceramikę. Ekspozowane dzieła pochodzą z lat 1914-1968, a więc dają możliwość prześledzenia rozwoju talentu malarza na przestrzeni około pół wieku, aż do dnia dzisiejszego. Biorąc Miró do dziś jeszcze tworzy, ciągle jest młody duchem i ma ambicję nadążania za współczesnością i nowoczesnością.

wystawa Miró przynosi mu sukces. M. in. Hemingway kupuje jego obraz i zachowuje go do śmierci. Ze wspomnień młodości i początków swego malarstwa Miró opowiada chętnie, że miał profesora, który uczył go w ciekawy sposób rysunku. Otóż profesor ten zauważył, że jego 17-letni uczeń ma większe po-

dotykowych. Cwiczenia te — jak twierdzi Miró — doskonale rozwinęły jego poczucie kształtów.

Jedną z ostatnich rzeźb Juana Miró jest monumentalne dzieło ceramiczne zatytułowane „Wenus morza”. Ostatnio rzeźba ta została umieszczona na dnie morza, 18 metrów pod powierzchnią wody, w po-



Juan Miró. „Narodziny dnia”.

czucie kolorów niż form. Kazał mu więc zamykać oczy, po czym wcisnął w rękę jakiś przedmiot, a potem kazał, nie patrząc na ów przedmiot, rysować go na podstawie jedynie doznanych wrażeń

blizu plaży jednej z miejscowości uzdrowiskowych — wypoczynkowych. „Wenus morza” będą mogli podziwiać od teraz kowic i wszyscy amatorzy sportów podwodnych.

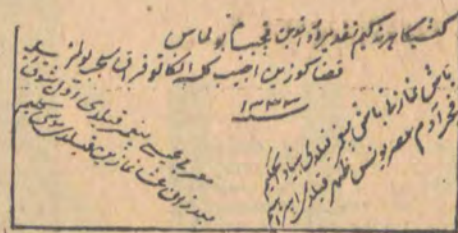


Juan Miró.

ODNALEZIONY POEMAT

* Wiadomo było, że ojciec wielkiego poety turkmeńskiego Machtuma kuli sam był poetą i pi-

powiednie Azada” (Wagzi-azad). Obecnie turkmeński uczeni odnaleźli litografię drugiego poematu o Machtumkuli. Poemat ten zatytułowany „Opis



Fragment ostatniej strony poematu „Bechiszname”. (Opis raju).

sał wiersze i poematy. M. in. znany był dotąd jego poemat pt. „Prze-

raju” (Bechiszname) z 1756-1757.

ANTOLOGIA POEZJI TURECKIEJ

* W jednym z paryskich wydawnictw ukazała się „Antologia poezji tureckiej” w opracowaniu Nimeta Arzika. Dzieło zawiera szeroki przegląd tureckiej twórczości poetyckiej, mającej swą długą tradycję. Reprezentowani są autorzy od najdawniejszych, a turecka poezja liczy sobie prawie dziesięć wieków, aż do współczesnych m. in. Nazima Hikmeta, którego twórczość poetycka wywarła ogromny wpływ na całe pokolenie współczesnych twórców tureckich.

trwał na swych płótnach jezioro Neuchatel i jego okolice, gdzie przebywał od dzieciństwa, dokąd stale powracał i gdzie zmarł w 1949 r. W 100-lecie urodzin malarza ukazała się książka pt. „Louis de Meuron” której autorami są Charly Guyot i Edouard Muller, a muzeum w Neuchatel nad jeziorem o tej samej nazwie, urządzoło wielką, retrospektywną wystawę de Meurona. Znalazły się tu dzieła malarza: liczne portrety, sceny rodzinne i pejzaże.

MALARZ ZNAJ SZWAJCARSKIEGO JEZIORA

* Urodził się w 1868 roku w rodzinie pastora i otrzymał wychowanie tak skromne i surowe, że nigdy w swym życiu nie chciał malować kobiecych aktów. Louis de Meuron był nieprzeciętnym malarzem, głównie pejzażystą, a ze specjalnym zamiłowaniem u-



SOBOTA

Kiedys śpiewano, że „płoszka prawdę ci powie”, ale ostatnio tyle w piosenkach bredni, które z życiem niewiele mają wspólnego, że chyba słuszniej będzie lansować hasło „statystyka prawdy ci powie...”. A coż ona nam właśnie mówi? Ze ostatnio w Łodzi mniej chodzimy do kin i teatrów. Ale... wzrosła o 8 proc. frekwencja widzów w Teatrze Wielkim oraz o 12 proc. w Operetce. Wiadomo — opery i operetki nie da nam w „pigulce” żadną telewizją — to trzeba zobaczyć „na żywo”. W ciągu ostatnich paru miesięcy kupiliśmy w Łodzi ponad 7 tys. telewizorów i ok. 14 tys. radiodiodników — co oczywiście, nie pozostało bez wpływu na zmniejszenie frekwencji w teatrach i kinach.

NIEDZIELA

Wybrałem się w niedzielę do Warszawy na ul. Mazowiecką 114, aby obejrzeć wystawę malarstwa Henryka Strumiłły. Młody, bo 34-letni artysta jest łodzianinem — tu ukończył studia w PWSSP (pracownia prof. R. Modzelewskiego), tu wystawiał swe pierwsze prace i tu przecież był współtwórcą grupy plastycznej „Galeria 20”, która w swoim czasie bardzo aktywnie działała na terenie Łodzi mając życzliwe oparcie w ZMS-owskim „Pałacyku”. Obrazy Strumiłły nie są z gatunku łatwych — jest jednakże w tych abstrakcyjnych kompozycjach jakiś dramatyzm barwy i plamy, te obrazy są niepokojąco żywiołowe i dynamiczne — to nie sucha, wydumana koncepcja, to autentyczny twórca żywiołu. Myślę, że Henryk Strumiłło jeszcze nas nieraz swoimi pracami zadziwi.

JERZY WIDOK

Bez strachu

MILCZENIE

„Ja nie wiem czy jest jakaś percepcja bez reminiscencji”

Jan Huszcza

„Dlaczego ręka ma pięć palców”.

Marian Piechal

Mam opinię mruka i jestem mrukiem — nie znaczy to, abym mrucał — przeciwnie, przez długie godziny nie wydaję słyszalnych odgłosów — milczę. Nie znaczy to, bym słuchał moich rozmówców — nie myślę, że tak powiem, obrazam — nagrywam sam w sobie i dla siebie osobliwe filmy, filmy, których jestem jedynym widzem i słuchaczem. Powoli przyzwyczajono się do mojego milczenia. Niekiedy, kiedy rozmówcy bliżej byli irytacji, mówiłem: „Nasz był jest z gadaka”, lub „Wieszcie czy się kolowrot bytu”, lub „Człowiek to brzmi dumnie” lub „W wypowiedziach waszych w zbyt małym stopniu uwzględnia cję realizm epistemologiczny”, lub „Po to, by żyć trzeba jeść” — po takiej wypowiedzi, która niekiedy, jak się okazuje, trafia w sedno toczony obok mnie dyskusji, powracam znowu do mojego wewnętrznej, a dyskusja toczy się dalej, gdzieś zewnątrz. W miarę upływu lat moje uporczywe milczenie uzyskiwało rozmaite oceny — było to zatem milczenie metodologiczne, za które mnie chwalaono, wynikało bowiem z poczucia obrazy, miał odpowiedzialność za słowo. Milczenie kolejno świadczyło o wielkiej kulturze osobistej i o zupełnym braku, o całkowitej towarzyskim i o zupełnym nieokreśleniu, o odwadze i o lekkości — było milczenie polityczne i apolityczne, altruistyczne i egoistyczne, milczenie wymowne i nie znaczące. Prawie zawsze moim towarzyszem milczenia osadziła nieświadome miarę według której oceniali intelektualna i moralna waga mojego milczenia. Tak było wtedy, kiedy towarzyszyli mi rozmowa w milczeniu ludzie niepojemni, przestający mnie wiedzą i dokonaniem twórczym, tak było wtedy, gdy towarzyszyli mi w milczeniu ludzie bardzo mało w tych kwestiach sobą reprezentujący. Tych ostatnich zwłaszcza rozdrażniała zazwyczaj bezgraniczność na pycha — milczenie brało za słabość, za poczucie niższości, za chęć ukrycia własnych niedoborów myślowych i uczuciowych. Sokrates gotów był rozmawiać z każdym i o wszystkim, ale Sokrates był wielkim myślicielem — ołów tylko wielcy myśliciele mają obowiązek rozmawiania z każdym o wszystkim — skromni ludzie, nie. Dlatego też ja nie mam podobnego obowiązku. Prawo do milczenia jest prawem do koncentracji i do własnego aktualnie niewypowiedzianego życia wewnętrznego, istnieje organizacje psychiczne erupcyjne reagujące bezpośrednio żywo — istnieje organizacje oświadczające o sobie powolnym strącaniem rąk — oczywiście nie, daj tymi krakowsko różnymi trybami temperamantów i osobowości są fałszywie porównane. Co do mnie niekiedy przerywam wyświechtanie wewnętrzne go filmu i wtedy dobiega ja mnie fragmenty toczonych obok mnie rozmów — niektóre z nich nawet zdolane do adaptacji. Oczywiście każdy z tych fragmentów znajduje na odmienny felieton...

BERNARD SZTAJNERT

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Jak co roku w sierpniu łódzkie studio telewizyjne przeżywa tradycyjną konserwację, a my — telewizorzy — pozbawieni jesteśmy Łódzkich Wiadomości Dnia, które weszły już w skład codziennej porcji informacji, jaką otrzymujemy przez cały rok. Z konieczności — zatem przyszło nam oglądać Telewizyjny Kurier Warszawski — stołeczny odpowiednik ŁWD. Oglądamy go zatem i miotają nami uczucia mieszane. Warszawską informację robio na jest bogato — składa się prawie wyłącznie z migawek filmowych, słowo, jak przystało na telewizję, nie zastępuje obrazu, ale go tylko wspiera. I tak powinno być, i to byśmy sobie marzyli w ŁWD. To jedna prawda. Ale jest i druga. Łódzkie Wiadomości Dnia robione są z większym „bigiem”, są ciekawsze i bardziej pomysłowe, są po prostu bardziej różnorodne tematycznie, nie stronią od satyry, malarstwa, literatury... Po dłuższym zastanowieniu się myślę więc, że nasze ŁWD są ciekawsze i — jak to się mówi — lepiej robione. Tak, tak — trzeba nieraz poznać przyszłościowe „cudze”, aby pochwalić „swoje”.

WTOREK

Podróżą przez polskie tysiąclecie i przez dalekie kontynenty nazwał kiedys w tym miejscu stałą ekspozycję Muzeum Archeologicznego. Ale jak mawiał Heraklit — wszystko płynie i nic nie stoi w miejscu. Łódzka stała ekspozycja etnograficzna też się rozwija. W tych dniach odeleciał do Japonii na Międzynarodowy Konkurs Naukowy dyrektor muzeum prof. dr Konrad Jażdżewski. Łódzki uczonec ma m. in. podjąć tam starania o wymianę polskich zabytków etnograficznych na japońskie. A zatem sale wystawowe przy placu Wolności jeszcze bardziej egzotyczne i dalekie, które wśród zwiedzających zrobią być może większą furorę niż wystawione tu obecnie indiańskie totemy i murzynskie maski. Japonia przy placu Wolności Tego jeszcze w Łodzi nie było. Ale poczekajmy trochę, a w wolnych chwilach trzymajmy kciuki za pomyślną wymianę jaką obiecuje prof. Jażdżewski.

SRODA

Pewien mój znajomy dziennikarz bardzo sobie ze mnie dworował, że pracuję w piśmie o nakładzie kilkunastu tysięcy egzemplarzy, gdy on

— dziennikarstwo — pisze do gazet o nakładzie 100 tysięcy. Zmierzam, bo com miał rzeć. Alili niebawem ujrzałem powielone w 100 tysiącach głupstwo, gdzie pod tytułem „Na wsi wesoło” rzecz była o weselach opisywanych przez „pana Reymonta”. Zupelnie ple-pie. „Na wsi wesoło” napisała Maria Dąbrowska. Również bzdurka, ale powieloną w nieco wyższym nakładzie przeczytałem o Krzysztofie Kamili Baczyńskim. „Poeta — żołnierz czasu burz” — określa go dziennikarstwo. Wysokanokładowa i mordercze poe. Zna Baczyńskiego raczej ze słyszenia — z telewizji. Nie zna owej pięknej metafory „żołnierz — poeta — czasu kurz”, która stała się nawet tytułem książki. A więc nie „żołnierz czasu burz” (i naporu), ale coś zupełnie innego. Ignorancja mianowicie. Tym bardziej przykra, że wielonakładowa Powie ktoś — małe bzdurki. To prawda, ale powielone w dziesiątkach tysięcy stają się dużą bzdurą.

CZWARTEK

Tysiąc radiopajęczarzy wykryto w Łodzi! Strach pomyśleć — słuchali radia bez odpowiednich opłat, nie ujęci przez statystyki. Pewno że uchylanie się od określonych przepisami obowiązków jest wysoce naganne, ale... Ma ktoś dwa radia, normalne oraz tranzystorowe. Normalne zarejestrowane gra w mieszkaniu — tranzystorowe np. w warsztacie. UPT twierdzi — „za to drugie też trzeba płacić, bo gra w innym pomieszczeniu”. Czyli nonsens! Trzeba by wobec tego obłożyć podatkiem tranzystory w parkach i na ulicach. Do liczby 1.000 radiopajęczarzy dorzuć jeszcze jednego — Jerzego Widoka. Mam w domu radio, ale mój

tranzystor przynosi do redakcji (warsztat pracy) i tu sobie słucham. Jestem więc radiopajęczarzem czy nie? Płakać się chce. Żyjemy w epoce półprzewodników i tranzystorów, a przepisy mamy z czasów detektora, radia na słuchawki i anteny na tyczce.

PIĄTEK

Kultura fizyczna i działalność kulturalno-oświatowa niewiele na pierwszy rzut oka mają ze sobą wspólnego. W pierwszym wypadku mamy z tym, co się dzieje w drugim głowie. Ale jeśli mówimy o działalności z głową wyniki mogą być interesujące. Do takiego wniosku doszli pewno Wydział Kultury WRN oraz Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki podpisując w swoim czasie umowę o współpracy. Cel był oczywisty: powiązać działalność sportową i turystyczną z działalnością kulturalną. Już pierwsze wspólne poczynania wydają się dość ciekawe. Wzbogacono wszelkiego rodzaju regionalne galiołki o szereg sportowych i turystycznych imprez i myśleć, że przydało to nieco rumieńców i odświeżyło nieco monotone już Dni — Sieradza, Łowicza, Wielunia, Folkloru Ziemi Rawskiej itp. Z drugiej zaś strony na turystycznych szlakach organizuje się tzw. zielone świetlice — swego rodzaju stancie kultury, których funkcja i rola jest na pewno niemała, jako że dotychczas profesjonalna turystyka raczej mało zwracała uwagi na „sprawy ducha” w turystycznej działalności. Jak więc widać, pierwsze miesiące tego kulturalnego małżeństwa są raczej miłe. Jeśli tylko nie wtrąci się tu jakaś biurokratyczna teściowa — mariaż na wszelkie szanse na długi żywot.

„Mam Forda Taunusa — oczekuje propozycji”...

„Mam Forda (Taunusa) i wolne popołudnia. Oczekuję propozycji. tel. nr... oferty pod...” Inzerat tak inzerat. Mógł kryć się za nim jakiś wygodny podrywacz, mógł także oznaczać zwykłą handlową nieco ofertę.

— No cóż — skojarzenia były różnorodne — składane propozycje... Zresztą posłuchajcie.

— Proszę pana czy to ogłoszenie jest w sensie matrymonialnym czy handlowym?
— W sensie handlowym.
— A to przepraszam.

— Czy to pan dał ogłoszenie o Fordzie Taunusie?

— Owszem, ja.

— Gratuluje pomysłu...

— Dlaczego, przecież to nie dowcip, może ktoś chciał zajechać do ślubu eleganckim wozem a nie zwykłą taksówką z „kogutkiem na dachu”...

— No tak, rzeczywiście. A ja to rozumiałam zupełnie inaczej...

Nie, nie powiem jak — nie chcę się kompromitować...

Rozmówcy wyraźnie zawydyżali się, że ma tzw. kosmate myśli. Ale następna oferta sprawy postawiła od początku jasno.

— Ja z ogłoszenia.

— Słucham panią.

— Jak to słucham, ja zgłaszałam swoją ofertę. Też mam wolne popołudnia. Zresztą pan wie o co chodzi...

— Proszę pani to handlowe ogłoszenie, chcę po prostu...

— Głupie żarty!

Trzask słuchawki. Zdezerwowała się. Składa kobieta propozycje z rodzaju konkretnych, a tu facet kreci...

— Proszę pana, potrzebny nam ten Taunus, ale na jakieś 10 dni. Chcemy z żoną wyjechać w podróż poślubną po kraju... A właściwie to muśmy poodzwadzać krewnych — ślub wzięliśmy tydzień temu. Na przyjęcie nie zapraszałyśmy nikogo, bo mamy licoz na rodzinę więc należało albo wszystkich albo nikogo... Podobno się na nas trochę za to obrażono... Ten Taunus to dla nas ratunek. Powiemy, że

właśnie trafiła się okazja i kupiliśmy samochód, więc nie urządzaliśmy wesela... Jak pan uważa czy takim samochodem można udobruchać rodzinę?

— Myślę że tak. Zawiezie pan ciotkę na wycieczkę i wszystko będzie w porządku.

Dzwoni zamieszkała ze Zgierzem. Dziewczyna, aż na pocztę pofatygowała się, bo słysząc głos: „proszę do rozmówcy numer 3”... Oferentka przystępuje z miejsca do rzeczy.

— Mogę się z panem spotkać.

— Dobrze, ale w jakim celu?

— Pan dobrze wie w jakim celu — mam 20 lat, pan podał ogłoszenie i czeka na propozycję, więc dzwonię...

Kiedy wyjaśniam, że to nie o to chodzi, dziewczyna się peszy i powiada „ja już nie wiem co o tym myśleć”. Prawdę mówiąc, ja też już nie wiem co o tym myśleć.

— Ale oto telefon znowu dzwoni...

— Panie, czy tego Taunusa można pożywić na dłuższy czas?

— To znaczy?

— Widzi pan, przyjeżdża do mnie szwagier ze Stanów — zależy mi, jak to się mówi, na reprezentacji... Szwagier będzie tu dwa tygodnie, chciałbym pokazać mu trochę Polski. Mam co prawda Syrenkę, ale sam pan wie — to nie samochód dla gości z Ameryki...

— Rozumiem, ale nasz Taunus ma jeszcze zaaranżowaną rejęstrację...

— To jeszcze lepiej. Szwagrowi powiem, że Taunusa kupiłem od dyplomaty, który opuszcza Polskę i że jeszcze wszystkiego nie spłaciłem... Pan wie — dwie pieczenie przy jednym ogniu...

Zmieniamy się przy telefonie. Za biurkiem siada koleżanka, która na następna godzinę stała się właścicielką pięknego Forda Taunusa model 1967.

— Proszę pani, co ten pan chciał przewozić?

— Jaki pan?

— No ten z ogłoszenia.

— Ogłoszenie było również moje. A co pani by chciała przewozić naszym samochodem?

— Ja właściwie nic. To wujek się zainteresował...

— A co wujek ma do przewożenia?

— Wujek? Nic specjalnie... To ja przepraszam.

Kiedy podniosłam słuchawkę, kobieta z drugiej strony zawałała się. Wreszcie...

— Proszę pani, jaki to model tego Forda?

— 1967 rok.

— To ja dziękuję.

— Słucham... Z drugiej strony damski głos — przepraszam, pomyłka.

— Czy to pani dała ogłoszenie?

— Ja i mąż.

— Bo proszę pani, ja też mam wolne popołudnia, wakacje, znajomi wyjechali, można by się wybrać do teatru, na koncert...

Głos jest jakiś sympatyczny. Może dziewczyna rzeczywiście cierpi na samotność, więc traktuje ją wyjątkowo uprzejmie.

— Czy pani zależy na naszym towarzystwie, czy tylko chciałaby pani wypożyczyć mego z samochodu?

— Oczywiście i pani też. Bo tak nudno...

— No dobrze, ale po co nam Ford do teatru? Zresztą muszę panią rozczarować, nasza oferta była czysto handlowa.

— Oo, to przepraszam.

Biedactwo!

Znowu się kobieta pomyliła, potem telefon i w słuchawce cisza, i znowu cisza, i znowu. Zaczynam się irytować. Czy nie mógłby wreszcie zadzwonić jakiś mężczyzna? Wreszcie jest!

— Trochę dziwne, że słyszę

kobiecy głos. Pani dała ogłoszenie?

— Ja.

— Jaki to model? A w ogóle, w jakim stanie jest ten Taunus?

— Produkcja z 1967 roku, nowy, dopiero co przywieziony do kraju, wiśniowy, śliczny...

— To by mi się nadawał. Chciałbym go pożywić na dzień, dwa... Oczywiście mam prawo jazdy. Zresztą powiem o co chodzi. Jestem architektem i mam zaprojektować willę jednemu badylarzowi spod Warszawy. Wie pani na badylarzach dobry samochód robi wrażenie. Facet inaczej będzie gadał z gościem, który przyjechał eleganckim Taunusem... Proste, prawda?

Dzwoni w sprawie ogłoszenia, ale wobec tego, że słyszę damski głos, widzę, że sprawa nieaktualna.

— Dlaczego?

— Sądziłam, że to pan podał, proszę mi wobec tego podać jego numer...

— To właśnie my daliśmy ogłoszenie.

— To dziękuję.

— Ja w sprawie Taunusa. Z panią mogę mówić?

— Tak.

— Chcę wypożyczyć wóz na popołudnie, za 3 dni. Pani prowadzi?

— Tak.

— To świetnie. Mam nadzieję, że nie wygłada pani gorzej od Taunusa. Bo musi być

pełna reprezentacja. Nasza spółdzielnia ma gości z Warszawy. Chcemy im pokazać trochę ciekawszych miejsc w województwie... Czy zabytki? ha, ha, ha, można i tak powiedzieć. Chcemy zacząć od „Europy” w Piotrkowie... Placimy z góry — patyk chyba wystarczy. Nie licząc oczywiście doborowego towarzystwa...

Teraz z całą pewnością dzwoniła nastolatka i to chyba bardzo młodziutka, bo głosik jej się zalamal jak mnie usłyszała i zupełnie straciła rezon.

— A, to pani dała to ogłoszenie? Bo ja bym reflektowała...

— Na co?

— Bo nie bardzo rozumiem co to znaczy...

Wyjaśniam jej szybko, że może sobie wypożyczyć samochód z kierownicą.

— A ile kosztuje podróż?

— Dokąd?

— A to zależy od trasy? To ja potem zadzwonię...

— Dzień dobry! Jest nas czwórka. Pani będzie płaciła, czy to jakiś facet prowadzi Taunusa?

— Ja, ale nie bardzo rozumiem...

— Ile pani ma lat? Mniej niż 30?

— Mniej.

— Może pani śpiewa?

— Chwilęczkę drogi panie! Z kim mam przyjemność?

— Mówiłem, jest nas czwórka. Nowy zespół, trzy gitary

Fot. B. Karczewicz

i grzmot, chcemy się wylansować, bo mówiąc szczerze, jeszcze nie bardzo nas znają. Będziemy jeździć w Polskę i zbijać forsy, non stop, pani będzie nas wiozić, może pani śpić?

— A jak forsę nie będzie, jaki ja będę mieć z tego interes?

— Nie ma prawa nie być! Pani zobaczy nasz repertuar, a na samochodzik można rzucić kwiatki, takie same jak na naszych portkach, tylko większe. Reklama pierwszorzędna, nie? To kiedy się spikniemy, żeby obgadać?

Traktowaliśmy nasze ogłoszenie jako żart, toteż nie wy pada nam wyciągać teraz poważnych wniosków z przeprowadzonych rozmów. Okazuje się, że nie gina fantazja w naszym świecie, bo przecież większość składanych ofert nie miała nic albo niewiele wspólnego z czysto handlowym interesem.

Czynnik reprezentacji grał w tej całej zabawie dość istotną rolę. A naiwne bardzo jednoznaczne telefonny od kobiet? No cóż, zaprezentowały się one żałośnie, kojarząc sobie elegancki wóz i wolne popołudnie wyłącznie z samochodowym podrywaczem. Ich sprawa.

Mamy jednak nadzieję, że cała historia nie powinna zniechęcać nikogo do studiowania jakiejś atrakcyjnej rubryki ogłoszeń. Bowiem za tymi, drukowanymi nonparem inzeratami kryje się z reguły to co zwykliśmy nazywać „samiym życiem”.

pani: uderzać! Prędko, bo inna sprzątnie sprzed nosa!

W takich warunkach trudno pozostać prawdziwym dżentelmenem, a niżej podpisany chce jeszcze jakiś czas za takiego uchodzić. Dżentelmen pragnie nadal domniemywać, że to kobieta jest powściągliwa, skromna, pełna rezerwy, że trzeba ją zdobywać wbrew jej początkowym intencjom, że to zdobywanie stanowi szczęście dżentelmena. Dżentelmen skazany jest na wymarcie.

Zresztą, jak można wyczytać z prasy — skazany na wymarcie wraz z całym męskim gatunkiem. Ochraniajcie mężczyzn! — pisze wielkimi czcionkami „Głos Robotniczy”. Według statystyk mężczyźni żyją krócej, a ich przeciętny wiek rośnie wolniej niż przeciętny wiek kobiet. Czyli licząc względnie — mężczyźni żyją coraz krócej, zwiększa się różnica, coraz więcej będzie (stosunkowo) samotnych kobiet. Powiększy nawias oznacza oczywiście zarówno „stosunkowo więcej” jak i „stosunkowo samotnych”. Bez względu na samotne kobiety spotyka się już tylko powyższe sześćdziesiątki. Te młodsze, po zmobilizowaniu wszystkich swoich możliwości i sięgnięciu do pełnego arsenału kobiecych plusów do niedawna męskich sposobów i metod, dadzą sobie jakoś radę. I długo jeszcze nie będziemy wiedzieli, czy wyjeżdżając na nierodzinne wczasy lepiej za rogatkami zdjąć obrączkę, czy włożyć obrączkę?

CWIEK



Lewym
okiem

Z OBRĄCZKA CZY BEZ?

Pisma humorystyczne sprzed trzydziestu — czterdziestu lat, zwłaszcza w numerach letnich, pełne były dowcipów o słomianych wdowcach, o sezonowych kawalerach, ich podbojach, przygodach, romansach. Czasem dowcipy takie pojawiały się i dziś, czy to w prasie, czy też w ustnym towarzyskim przekazie. Znane jest też spostrzeżenie o tym, jak to mężczyźni żonaty, so-

lidny, ojciec dzieciom, wyjeżdżając na wczasy czy choćby tylko na delegację służbową, zdejmując tuż za rogatkami obrączkę z palca i zaczyna się rozglądać za „szansą”.

Śmieszne, dowcipne, naiwne kawałki dla dzieci. Rzeczywistość jest inna, proszę państwa. Świat się zmienia. Oto pisze Wanda Falkowska w „Przekroju”, że pewna wczasowa oszustka w przekonaniu, że flirtuje z żonatym mężczyzną, naciągała go na różne sposoby, licząc na to, że dla uniknięcia skandalu poszkodowany nie pnie nikomu ani słowa. I cóż się okazało? Poszkodowany był właśnie kawalerem, nie bał się skandalu, złożył meldunek milicji, narobił szumu. Oszustkę aresztowano. Nie przyszło jej do głowy, że facet tuż za rogatkami WŁOŻYŁ obrączkę na palec, żeby udawać żonatego!

Ciekawe byłoby tylko malutkie studium obyczajowe: czy obrączka miała, w intencji owego pana, odstraszyć nadmiar wielbicieli, czy może odwrotnie — zachęcić do tym większych z ich strony awansów? Każda z tych dwóch odpowiedzi — a trzeciej nie ma — świadczyć będzie o tym, że piękny czas podrywaczy minął. Nastąpiła era podrywaczek. To mężczyźni stali się potencjalną zdobyczą, to on zaczęli unikać ciemnych ulic, samotnych spacerów przez las, samotnego przesadywania po kawiarniach. Jeśli pójdzie samotnie przez las, jeśli siądzie samotnie w kawiarni — będzie to jednoznaczny sygnał dla